

Nr. 8 20 LUTEGO 193[illegible] R.
CENA [illegible] GROSZY

OSIEMNASTOLATKA

OLIMPIA B[illegible]



Tancmistrz pomoże ci więcej, niż Arystoteles" — uczył lord Chesterfield syna. A syn jak ojciec był jednym z najwykwintniejszych epuzerów i dandysów lekkomyślnej epoki. „Proszę was: pamiętajcie przedewszystkiem o przyjemnem poruszaniu ramionami, bo to wraz ze sztuką wdziewania kapelusza i podawania ręki, jest wszystko, co umieć winien człowiek wytworny". Cała wykwintna Europa brała lekcje dobrego tonu u lorda Chesterfielda.

Tańczy przez lat dwadzieścia Król Słońce Ludwik XIV na lśniących parkietach Wersalu i tańczy tak, jak mu zagra monsieur Lully „Generalny Inspektor Skrzypiec Królewskich". Pięknie gra monsieur Lully, aż zachwycona jego grą pani de Sévigné napisze: „...grać na skrzypcach jak Baptysta". Bo Jan Baptysta było na imię kapelmistrzowi królewskiemu. Tańczą pod jego batutą markizy w aksamitnych rozbronach i kawalerowie w błękitnych frakach, tańczą tak długo, aż monsieur Lully umrze w chwale śmiercią muzyka. Bo zdarzyło się, że dyrygując orkiestrą zranił się kapelmistrz w nogę bambusowym kijem kapelmistrzowskim. Rana wydawała się nie groźna, skończyła się jednak śmiercią. Na chwilę przycichły słodkie gawotów tony i panie wytworne nosiły przez czas pewien różową żałobę po kapelmistrzu. Zastąpi go potem Gluck i cieszyć się będzie aplauzem pudrowanej society.

Po kunsztownej, jedwabnej melodji „Don Juana" potoczą się w słodkim tańcu królowie, biskupi i wielkie damy. Marcel nauczy Europę tańczyć menueta i króla polskiego uzna za swego najlepszego ucznia. Bo król Staś tańczył dużo, chętnie, z powabem i gracją. Był królem tancerzy i najlepszym tancerzem wśród królów. Wodzirej zawołany, galant wykwintny, niezrównany causeur, król polski z wdziękiem postaci, urokiem gładysza, łączył wdzięk umysłu i subtelność dowcipu. Karnawał rokoka trwał blisko wiek, a najpiękniejsze jego dni przypadły na Warszawę.

Dochowały się do naszych czasów, w sekretnych szufladach czeczotkowych biurek, frywolne pamiętniki Casanovy, Lauzuna, Czartoryskiej. Dokumenty chwili i swawoli. Dochowała się korespondencja miłosna sawantek oświeconych i kawalerów wykwintnych. Nawet w gablocie muzeum odkryć można pięć listów miłosnych, jakie znaleziono nierozpieczętowane, po śmierci pana de Richelieu, zwanego „mężem wszystkich żon". Kochali, jak żyli, lekkomyślnie, zmiennie, płocho, ale aż do śmierci, zawsze radośnie.

Wchodzili w życie odpowiednio przygotowani. Jeszcze po babkach odziedziczyli „pacierze piżmowe" i „gałki wonne" oprawne w złoto. Wyciągali je ze skarbców rodzinnych i nuż niemi perfumować świat. Włosy, suknie, rękawiczki, nawet żywe kwiaty, nawet powietrze — wszystko jest perfumowane. Wódka różana, olejki, wonne spirytusy, piżmo, ambra, szpikanardy, balsamy, zybety, esencje muszkatowe, wszystko to służyło ludziom rokoka za pachnidło. Bajeczne rozpylacze rozsiewały w powietrzu woń tysięcy kwiatów. Czyż dziwić się, że ludzie odurzeni tym pachnącym czadem, tańczyli aż do śmierci?

Wirując na lustrzanych posadzkach, wśród wymyślnych piruetów, starali się ludzie rokoka uczynić życie jeszcze lżejszem od tańca. Migdałami palonemi na węgiel czernili brwi, kruszonym koralem z morską pianą malowali rumieńce, solą białą tłuczoną z miodem czyścili zęby, by lśniły w uśmiechu, jak perły. Na noc obkładali twarze świeżą cielęciną, co dobrze działało na cerę, a na ręce naciągali perfumowane rękawiczki. Posag, jaki wnosili w życie, był olbrzymi. Minister Brühl posiadał 800 szlafroków i 1.500 różnych peruk, marszałek Rzewuski pysznił się podobno pierwszą w Polsce manucurą, inny kamizelką haftowaną w zielone małpki, trzymające w łapkach parasolki, jeszcze inny stoma parami pantalonów, dama wytworna stangretem, czytającym na koźle francuskie romanse, druga karzełkiem, wielce uciesznym, trzecia cudzoziemskim kochankiem. Są dumni z miłostek, z fryzur, z figur menueta, są dumni z własnej hańby.

Zbiegają ze sztychów Chodowieckiego i obrazów Fragonarda i Watteau, schodzą z półek szklonych serwantek, z kart książek frywolnych, ze staroświeckich konsoli i etażer.

Mężczyźni we frakach à la Pompadour, obszytych złotemi bortami, koronkowe żaboty z najdroższych koronek spływają z wdziękiem na gors, takież same koronkowe pleureusy, wysuwają się spod rękawów i sięgają aż do końca palców. Idą w wiśniowych westach, w jasnych pantalonach, we frakach barwy cynobru, błękitu i różu, kolorowi, jak rajskie ptaki., w perukach pudrowanych i w misterne ułożonych pukle, prężąc dumnie biusty watowane i odznaczone orderami i guzikami z kryształu, w ktorych wnętrzu śpią snem wiecznym muszki, motyle, gąsienice, nawet jaszczurki. Bo człowiek rokoka jest miłośnikiem przyrody... tekturowej, kocha sielankę i wzdycha do nimf, podziwiając miniaturową szabelką i brylantowemi trzęsieniami.

A nimfy z poświęceniem dźwigają na głowie koafiury tak wysokie, że zapalały się o żyrandole. I to jakie koafiury! Ozdobione klejnotami, kwiatami, piórami, miniaturowemi domami, ogrodami, okrętami. Trzeba jednak przyznać, że nosiły je z wdziękiem, tak jak i suknie à paniers, które dochodziły w szerokości swojej łącznie z krynoliną do dziesięciu metrów, tak, że kawaler wytworny musiał się trzymać elegantki w bezpiecznej odległości. A jednak w żadnej epoce nie kochano tak wiele!

Owe sławne muszki cięte z jedwabiu a lepione na twarzach rokokowych piękności zastępowały z powodzeniem późniejsze romantyczne rozmowy kwiatów. Zastępowały nawet listy miłosne, na które kawalerowie i damy wykwintne nie miały wiele czasu.

Muszki miały swą własną wymowę miłosną i piękne panie polubiły nową modę. Przy pomocy muszek mogły się oświadczać bez słów, a kawalerzy czytali w ich twarzy, niczem w wierszu miłosnym. Muszka na nosku oznaczała — bezwstyd, w kąciku ust — chęć pocałunków, na wardze — kokieterję, na powiece — namiętność. Nie szczędzi pani słodkich obietnic, nie szczędzi czarujących uśmiechów.

Chmury pudru wirują, jak obłok gradowy nad lekkomyślnemi głowami, ludzi rokoka. Opudrowali wszystko: głowy, serca, miłość, poezję, melancholję, Rzeczpospolitą, a pan Poniński nawet charty swoje będzie pudrował przed wyjazdem na polowanie.

Za mgłą pudru, zawoalowani, z odległości prawie błękitni, barwni i uroczy tańczą swoje gawoty i menuety ludzie oświeceni na parkietach ginącej Europy. Cały wiek trwał ich karnawał. Przez całe życie sadzili na wacie róże z porcelany. Szlichtady, kuligi, festiwale na ukwieconych łodziach, balety, intryga dworska, perfumowana polityka, gale i asamble u dworu, wypełniały im egzystencję. Po zgilotynowaniu Ludwika XVI i Marji Antoniny przystanęli na chwilę w swoim tańcu. Ale ta chwila nie trwała dłużej niż sześć tygodni oficjalnej żałoby świata eleganckiego po zgonie króla, co żył równie, jak oni ślicznie i lekkomyślnie, po zgonie królowej, która była twórczynią swego stylu. Po sześciu tygodniach na nowo roztańczyła się Europa i Warszawa.

A jak zapewnia Stanisław Wasylewski „złoconą pałeczkę aranżera najchętniej dzierży w dobranem kółku król sam, o ile nie odbywa się ceremonjalny „bale paré" z całym przepychem etykiety, lub też bal réglé, na który ad hoc osobnego wybierają monarchę. Moda tańczenia tak owładnęła elegantkami, że gdy poseł angielski Harris przybyły do Warszawy „tańcowały z nim wciąż przez jedenaście dni". Dwór pruski przyznać musi, że na naukę tańców trzeba jechać do Warszawy. Sejm czteroletni dzisiaj nazwany Wielkim, u współczesnych nosił on nazwę weselszą: sejmu tańcującego. W czasie obrad w niedzielę tańczono u prymasa, w poniedziałek u marszałka Mniszcha, we wtorek u Szczęsnego, w piątek u Ignacego Potockiego. Król w niedzielę przed południem przyjmował w Łazienkach Izbę Poselską. W cieniu drzew i przy szmerze kaskad podawano śniadanie, zaczem zebrana societa udawała się na bal do sali koncertowej. Po skończonym polonezie i kadrylu, konferował król ze stronnictwami, a wypocząwszy, kończył przerwaną zabawę entrechatami menueta".

Na koniuszkach palców, w muślinach błękitnych i urjańskich perłach tańczy z pań rokoka najbardziej urocza, a namniej piękna, zato najmądrzejsza Izabella Czartoryska. Świadoma jest swych czarów, powiada o sobie z uśmiechem, że żadna z kobiet nie posiadała tak subtelnej zalotności, że na szali jej powodzeń zawsze przeważało szczęście. Zawsze od początku. Zaczęło się już wtedy kiedy na balu koronacyjnym w Saskim Ogrodzie wchodziła w świat, w świetle kolorowych lampjonów. Na młodą damę, nikłą, drobną, o brzydkich rysach i cerze zeszpeconej ospą nie zważali dworacy. Ale oczarowała ich odrazu pierwszym tańcem. Tańczyła prześlicznie! Łaskawie zauważyli, że miała piękne nóżki, że uśmiechała się nad wyraz powabnie, sposobem jej tylko znanym, że patrzała z uroczą melancholją poprzez długie rzęsy, że miała najpiękniejsze oczy na świecie, ogromne, ciemnoszafirowe, że jak żadna z dam umiała prowadzić uczony dyskurs i kokietować dyskretnie, subtelnie, z wdziękiem mądrej kobiety i rasowej grande damy.

Granatowymi oczami podbiła Warszawę Iza Czartoryska i na salonach królowała niepodzielnie. Szeptano o niej to i owo, źle i dobrze, z sentymentem i nienawiścią, kochano się w niej do szaleństwa, uwielbiano ją i mieszano z błotem. Kochał się w niej król i Wasiljewicz Repnin, Branicki i obieżyświat Lauzun, kochali się w niej książęta i diuki, biskupi i uczeni. Przez długie lata i przez jedną chwilę, wielką, głęboką miłością, albo kapryśnem i zmiennem uczuciem. Nie gardziła żadnym hołdem. Na błyszczących parkietach Łazienek, na tle biało-złotych ścian takńczy do dziś. Pani muślinowa i zwiewna .Pozwólmy jej tańczyć. — Przyjdzie czas kiedy życie upomni się o swoje prawa, a Iza Czartoryska zapłaci życiu zaciągnięty dług z honorem. Teraz jednak niech się bawi i... zazdrości.

A zazdrości napewno! Bo właśnie la princesse palatine Helena Radziwiłłowa, co najlepszych odbija jej tancerzy, co najświetniejszych epuzerów. Młodsza od niej, prześliczna, prawie klasycznie piękna, wielce edukowana, obdarzona, pięknym, aksamitnym kontraltem, którym śpiewa kawalerom wykwintnym tęskne melodje, budzi ogólny zachwyt la princesse palatine. Tem większy, że dziwnym natury kaprysem lat dwadzieścia skończywszy zupełnie osiwiała. Nie potrzebuje więc nosić peruki. Przy olśniewającej cerze i płomiennych oczach, srebrne włosy dodają jej jeszcze uroku. A Radziwił-

Dokończenie na str. 18-tej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 8 **Niedziela, 20 lutego 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 8-GO:

Fot. „AS"

Przed kilku dniami odbyła się stylowa zabawa artystyczna w Krakowie, urządzona przez „Bratnią pomoc" uczniów miejscowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. Zarówno dekoracja sal, jak i piękne kostjumy, stylizowane na ludowych motywach, świadczyły dobitnie o wysokim poziomie artystycznym panującym w tej uczelni. Na zdjęciu: Para krakowiaków, której kostjumy zdobyły zaszczytną nagrodę na zabawie.

SZYBKOŚĆ LUDZI, ZWIERZĄT I MASZYN.

Rekord szybkości współczesnego samolotu wynosi 700 km/godz.,

Gorączkowe tempo — to cecha, która zaczyna dominować we wszystkich niemal dziedzinach życia współczesnego. Nie mamy tyle wolnego czasu, ile posiadali go nasi ojcowie. Treść naszego życia jest nieporównanie bogatsza od życia w czasach dawniejszych, w czem niewątpliwie największe zasługi położyła technika, rozwijająca się z każdym rokiem. To, co niedawno wydawało się nam niemal mrzonką czy fantazją, zostało już zrealizowane, przekraczając najśmielsze pomysły literackie Jules Verne'a.

Oddawna usiłowaniem człowieka było zwiększanie szybkości, z jaką mógł przedostawać się z miejsca na miejsce i otrzymywać wieści z znaczniejszych odległości. Olbrzymi przewrót w tej dziedzinie stanowiło bezsprzecznie wprowadzenie pierwszego samochodu parowego i kolei żelaznej. Jakżeż jednak nikłe wydają się nam dzisiaj szybkości, które nietylko uważali za wysokie ówcześni wynalazcy! Gdy Stephenson przed 100 laty zapowiedział, że szybkość jego pociągów będzie wynosić 30 kilometrów na godzinę, powszechnie wyrażano obawy, że organizm ludzki nie zniesie tak wielkiego pędu i że może nawet nastąpić śmierć zuchwałych śmiałków, którzy odważą się na tak karkołomną podróż.

Niemałe zmiany zaszły od tych niedawnych czasów. Szybkość 100 km na godzinę nie przeraża nas i nieraz z niej korzystamy, jadąc autem czy pociągiem ekspresowym; rekordy szybkości samochodowej już przed 10 laty przekroczyły 300 km na godz., a każdy rok przynosi nowe, coraz wyższe cyfry. Rozwój lotnictwa sprawił, że i te zawrotne wprost szybkości maleją w porównaniu z szybkością stalowych ptaków, dla których rekordowa szybkość, osiągnięta na automobilowych torach wyścigowych, jest „chlebem codziennym". — Ostatni rekord powietrzny, zdobyty przez włoskiego lotnika F Agello, wyraża się zawrotną wprost cyfrą ponad 700 km na godzinę.

Mimo tych wyników osiągniętych przez maszyny, — twór mózgu i dumę nowoczesnego człowieka, — nie słabnie jednak zainteresowanie możliwościami wysiłków samych mięśni człowieka. Lata powojenne przyniosły wprowadzenie powszechnej opieki nad rozwojem kultury fizycznej, a zagadnienia sportowe zajmują coraz znaczniejszą



...najszybszy zaś owad świata, giez Cephenomyia, może latać z szybkością 1.300 km/godz.



Na lewo: Charty w pogoni za „mechanicznym zającem" osiągają szybkość, równą chyżości koni wyścigowych.



Na prawe: Słynny automobilista G. E. T. Eyston ustanowił w r. 1932 rekord (obecnie już podwyższony) 120 mil na godzinę.



Jaskółka należy do ptaków, rozwijających dużą szybkość.

rolę. Przypominają się czasy starożytnej Hellady, nawiązano nawet do tradycyj dawnych igrzysk olimpijskich, stwarzając olimpjady, na których najdoskonalsi przedstawiciele różnych gałęzi sportu stają obok siebie w szlachetnej konkurencji. I tu rokrocznie ustanawiane bywają nowe rekordy. Rzesze przedstawicieli dzienników z całego świata zajmują posterunki przy telefonach, by w najdalsze zakątki świata podać jaknajszybciej wiadomość o nowym rekordzie, osiągniętym przez jakiegoś fenomenalnego biegacza. Duże zainteresowanie budzą dzisiaj wyniki osiągane przez kobiety, których udział we wszystkich niemal gałęziach sportu staje się coraz bardziej powszechny.

Podobnie, rozwój techniki nie zabił zainteresowań wyścigami konnymi, w których od wielu lat biegają najszybsze konie. Światową sławę osiągnął angielski „Derby-day", stanowiący niezmiennie od lat jedno z najważniejszych wydarzeń w Anglji. Wyścigi te odbywają się corocznie w Epsom na południe od Londynu, stale we środę przed Zielonemi Świętami, co przypada na koniec maja lub początek czerwca. Posiadają one już tradycję przeszło 150 lat. W r. 1780 wyścig ten wprowadzony został w Epsom przez ówczesnego lorda Derby'ego, stąd nazwa „Derby-race". Derby-day stanowi jakby święto narodowe Londynu i przyległych hrabstw, a mieszkańcy całej Anglji przyjeżdżają tysiącami, by być świadkami emocjonujące



Na lewo: Najszybsze zwierzę świata gepard azjatycki czyli czita — bywa używany do polowania.

psy, przyspiesza się jego bieg, powiększając odległość między nim a psami. W ten sposób podnieca się psy do maksimum wysiłku, dzięki czemu prędkość przez nie osiągana jest zbliżona do prędkości najszybszych koni wyścigowych.

Najszybsze jednak charty pozostają w tyle za gepardem, z którym urządzono wyścig na stadjonie Romfordskim, a który osiągnął szybkość niemal 90 km na godz. Stwierdzono, że zwierzęta te mogą dojść w swej szybkości do zawrotnej cyfry ponad 110 km na godz. Gepardy należą do drapieżnych kotów i w pewnym stopniu łączą one cechy psa i kota. Ciało geparda jest bardzo wysmukłe o małej głowie i zaokrąglonych uszach. Gęste futro barwy żółtawej nakrapiane jest ciemnemi centkami. Dwa gatunki gepardów — afrykański i azjatycki, znany również pod nazwą „czita", podobne są do siebie i nie różnią się sposobem życia. Są to zwierzęta stepowe i warunki życia wytworzyły u nich spe-



Na lewo: Najszybszym człowiekiem świata jest murzyn Jesse Owens, rekordzista na dystansie 100 mtr.



Niedźwiedź mimo swej ociężałości, zdoła dogonić konia w galopie.

Poniżej: Albatros mając wielki zasięg skrzydeł długo szybuje w powietrzu.





Na lewo: Z większych zwierząt konie znane są z wielkiej chyżości.

Poniżej: Rekord szybkości pociągu wynosi 200 km godz.

na dany sygnał najszybsze charty, które starają się dopędzić zbiega. Jest on jednak w rzeczywistości dla nich nieosiągalny, ponieważ w miarę dopędzania go przez

cjalne zdolności, pozwalające im na zdobywanie zwierzyny. Gepard potrafi się podkraść do zwierzyny, pełzając na brzuchu, podobnie jak lis, w biegu przypomina charta. Gepardy żywią się głównie antylopami. Na krótkich odległościach gepardy niewątpliwie są najszybszymi wśród zwierząt. Zobaczywszy stado antylop, gepard zręcznie

Dokończenie na str. 6-tej.



go biegu najszybszych koni świata. Właściciel zdobywcy nagrody szybkości otrzymuje nagrodę, stanowiącą prawdziwą fortunę, a faworyt-zwycięzca jest popularnym tematem artykułów prasowych.

Dawne polowania z chartami i ogarami, które i dzisiaj jeszcze gdzieniegdzie są uprawiane, a przedewszystkiem w Anglji, stały się zaczątkiem interesujących psich wyścigów. Na torze wyścigowym posuwa się mechanicznie poruszany, a naśladujący żywego — zając lub lis, za którym puszcza się

Ciąg dalszy ze str. 5-ej.
i bezszelestnie podkrada się na nieznaczną odległość, poczem potężnymi susami rzuca się na upatrzoną ofiarę.

Myśliwskie zdolności gepardów zwróciły już dawno uwagę krajowców, którym udało się oswoić to zwierzę i przyuczyć do polowań. Szczególnie w Azji, a zwłaszcza w Indjach i w Mongolji, polowania z temi, prawdziwie wiatroszybkiemi zwierzętami, są dosyć pospolite. Dawniejsi władcy Mongolji urządzali nieraz olbrzymie polowania, w których brały udział setki gepardów. Dostawały się one czasami i do Europy, między innymi polował z nimi niemiecki cesarz Leopol I, który parę wyuczonych do polowania gepardów otrzymał w darze od sułtana tureckiego.

W czasie polowania gepardowi nakłada się kaptur na głowę podobnie, jak sokołom myśliwskim, poczem posuwa się jaknajbliżej upatrzonego stada. Gdy nadchodzi już chwila odpowiednia, zdejmuje się kaptur i wskazuje gepardowi zdobycz, spuszczając gą z smyczy. W gepardzie budzą się na widok zwierzyny natychmiast instynkty myśliwskie i w szalonym pędzie rzuca się na uciekającą zwierzynę. Myśliwy szybko podąża za ściganem stadem, a przybywszy na miejsce zabicia zwierzęcia podcina zdobyczy gardło, krew zbiera do miseczki i daje ją wychleptać gepardowi, nakładając mu następnie kaptur na głowę.

Z innych zwierząt oddawna była znana duża szybkość, jaką może osiągnąć wielbłąd, który szczególnie w północnej Afryce oddaje olbrzymie usługi, umożliwiając komunikację między oddalonemi oazami. Szczególnie szybkim i wytrwałym biegiem odznacza się szlachetna rasa wielbłądów, zwanych „mehari".

Również szybkość niektórych ptaków była znana już od bardzo dawna człowiekowi. Szczególnie zwrócił on uwagę na szybkość lotu gołębia i od niepamiętnych czasów zaprzągł go do pracy dla swych celów. Przez długie wieki rozpowszechniona była poczta przy pomocy gołębi, a i dzisiaj posiada ona zastosowanie i duże znaczenie dla celów wojskowych. Przez gołębie przesyłano w starożytnej Grecji wiadomości o wynikach igrzysk olimpijskich. O dużem znaczeniu tego sposobu przenoszenia wiadomości w czasie wojny świadczy fakt, że pod koniec wojny wojska niemieckie dysponowały armją ok. 150.000 gołębi pocztowych.

Szybkość gołębia pocztowego zależy od warunków atmosferycznych, t. j. od pogody i kierunku wiatru: wynosi ona przeciętnie od 50 do 100 km na godzinę. Lot gołębi jest wytrwały, bez odpoczynku mogą one przebyć 500 km drogi. Znane są wypadki, że gołębie powróciły do swego stałego miejsca pobytu nawet z odległości półtora tysiące kilometrów. Na olimpjadzie, która przed dwoma laty odbyła się w Berlinie, wypuszczono 30.000 gołębi do różnych krajów.

Szybszymi od gołębi są niektóre gatunki sokołów i orłów, których używanie do polowań jest ogólnie znane. Polowania takie, bardzo częste w wiekach średnich, odbywają się jeszcze i dzisiaj w niektórych krajach azjatyckich, a również i w Europie, np. na Węgrzech.

Rozwój techniki, a przedewszystkiem automobilizmu i lotnictwa, pozwoliły na zbadanie zdolności osiągania szybkości przez inne zwierzęta, żyjące w stanie dzikim, o czem dawniej posiadano bardzo niepewne a nieraz wprost fałszywe pojęcia. Zbierane przez różnych obserwatorów dane, odnoszące się do szybkości różnych zwierząt, pozwalają na ułożenie tabeli wielu gatunków zwierząt w miarę wzrastającej szybkości, jaką mogą osiągnąć.

A rozpiętość szybkości różnych zwierząt jest olbrzymia. Przysłowiową jest mała szybkość, z jaką porusza się żółw czy ślimak, leniwiec nazwę swą zawdzięcza niezmiernie powolnemu poruszaniu się. Duża szybkość innych zwierząt znajduje swój wyraz w powiedzeniach takich: rączy jak jeleń, szybki jak gazela, ucieka jak zając i t. p.

Rozpocznijmy ten ciekawy przegląd od zwierząt lądowych. Węże nie zdobywają się na dużą szybkość. Kurczęta biegnące osiągają prędkość 15 km/godz., biegnące po ziemi przepiórki mogą posuwać się z szybkością 20 km/godz., różne rasy psów posiadają rozmaitą szybkość, obracającą się około 30 km/godz. Podobną szybkość osiągają szybkobiegacze; ostatni rekord w tej dziedzinie należy do murzyna ze Stanów Zjednoczonych Jessego Owensa, który osiągnął na przestrzeni 100 metrów szybkość prawie 35 km/godz. Większą szybkość posiada biegacz na łyżwach, jak świadczy o tem rekord, osiągnięty przez Gormana, a wynoszący ponad 40 km/godz. Szybkość taką osiąga słoń szarżujący, chociaż zwykle porusza się znacznie wolniej. Szybszym jest jeleń a także ptaki strusiowate, a mianowicie struś afrykański i jego krewniak australski emu. — Znaczniejsze szybkości osiągają najszybsze charty, a także wilki i dzikie osły z Mongolji. Konia wyścigowego prześcignąć potrafią niektóre gazele i antylopy, a wreszcie wspaniały gepard „czita" o prędkości ponad 100 km/godz. Nieco wyższą szybkość potrafi osiągnąć mistrz wyścigów rowerowych. Najszybsze pociągi pędzą z prędkością 170 km/godz., a rekord szybkości na małych odległościach dochodzi do 200 km. Znacznie szybszym jest automobil, który potrafi osiągnąć szybkość prawie 500 kilometrów.

Szybszymi znacznie są ptaki, a dzięki obserwacjom z aeroplanów posiadamy znacznie liczniejsze dane, odnoszące się do wielu gatunków. Zaznajomimy się tylko z niektórymi. Pospolity wróbel osiąga szybkość 30 km/godz., większą szybkość posiada kruk i pelikan, który potrafi lecieć z prędkością ponad 45 km/godz., szybszemi jeszcze są czaple i zimorodki, gawrony i dzikie gęsi. Szybszemi od gołębia, który może się zdobyć na prędkość 100 km/godz. jest jerzyk, a zwłaszcza jaskółka, osiągająca prędkość ponad 250 km/godz., podobne lub nawet większe szybkości mogą osiągać niektóre ptaki drapieżne, jak sępy, orły i sokoły. Tak samo szybko posuwać może się Zeppelin; znacznie większe szybkości wykazać może aeroplan, którego rekord wyraża się cyfra 709 km/godz.

Wydawałoby się naturalnie, że ta ostat-

nia szybkość jest czemś naprawdę wyjątkowem i chyba mało kto mógłby przypuścić, że istnieje jakieś stworzenie, które mogłoby poruszać się z podobną prędkością. Tymczasem odkryto zwierzę, które lata z prędkością dwa razy większą. Tem zwierzęciem okazał się przedstawiciel świata owadów. Amerykański entomolog dr Charles H. T. Townsend opisuje egzotyczny gatunek gza „Cephenomyja", który obserwował na niedostępnych szczytach o wysokości paru tysięcy metrów w Nowym Meksyku. Według tego badacza owad ten porusza się z tą olbrzymią prędkością, że ledwie jest widoczny w locie. Dr Townsend szacuje tę szybkość na 400 jardów na sekundę, co odpowiada szybkości ponad 1300 km/godz. Gdyby ten owad z tą samą szybkością mógł lecieć przez kilkanaście godzin, całą kulę ziemską okrążyłby w czasie jednego dnia.

A z jaką prędkością poruszają się zwierzęta w wodzie? Większa część znanych ryb naszych wód porusza się z niezbyt wielką prędkością, bo do 2 km/godz. Znakomity sportsmen i aktor filmowy Weissmüller na przestrzeni 100 jardów osiągnął znacznie większą szybkość, a mianowicie wynoszącą ponad 6 km/godz. Podobną szybkość wykazują ryby barweny, szybkość ponad 10 km/godz. osiąga łosoś, szybszym od niego jest szczupak, który może osiągnąć szybkość ponad 15 km/godz., a więc maksymalną szybkość zanurzonej łodzi podwodnej, która zresztą normalnie porusza się zaledwie z prędkością 7 i pół km/godz. Wielki francuski statek transatlantycki „Normandie" osiągnął szybkość prawie 60 km/godz., zdobywając wstęgę oceanu, rekord jednak szybkości w wodzie należy do Malcolma Campbella, który w swej łodzi motorowej „Niebieski ptak" osiągnął szybkość 208 i pół km/godz.

Dr M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W dalszym ciągu rozważań na temat „wymiany znaczków" muszę zaznaczyć, na prośbę wielu mych znajomych, że „morale" wielu filatelistów stoi, niestety, na bardzo niskim poziomie. I to nie tylko w Polsce, bo „czarne listy" osób nawet w największych klubach zawierają długie litanje nazwisk.

Jak ustrzedz się przed stratą? najlepiej, oczywiście, ogłosić, że oczekuje się nadesłania przesyłki, ale z punktu widzenia wysyłającego wybór w „nieznane" ryzyko jest bardzo poważne. Przecież ogłoszenie w czasopiśmie, mimo że podaje adres i zawód zbieracza, nie daje najmniejszej gwarancji uczciwości, bo któż może np. stwierdzić, czy p. X. Y. mieszkający gdzieś na Łotwie, czy w Portugalji, nie jest pospolitym oszustem.

Dalsza trudność wynika z tego, że nie wiadomo nigdy zgóry, jakich znaczków ów partner potrzebuje, a lepszych dubletów polskich nie warto absolutnie ryzykować, można je bowiem zawsze dobrze spieniężyć w ojczyźnie. A jednak trzeba w jakiś sposób dojść do porozumienia: bo z chwilą „kiedy dwoje pragnie naraz" — cały ambaras polega tu tylko na ulepszeniu organizacji wymiany.



Od lewej: Najnowsze znaczki Czecho-Słowacji i Niemiec.

Dlatego też idąc jak najdalej należałoby stworzyć międzynarodową organizację wymiany, do której przystąpiłyby związki filatelistyczne wszystkich krajów, a znów we wszystkich większych miastach znajdowałyby się filje, wykazujące, zależnie od składu zarządu, większą lub też mniejszą aktywność.

Dokładny projekt tego rodzaju organizacji przedstawię w jednym z najbliższych numerów.

Witold Horain.

* * *

„KRAKOWSKI KLUB TOWARZYSKI", który znajduje się w stadjum organizacji, zawiadamia, że zebrania filatelistów odbywać się będą we środy o g. 19 i w niedziele o g. 11 rano we własnym lokalu przy ul. Felicjanek 6.

ADRESY ZBIERACZY: Wicenty Janeczek, Łuck, Województwo Wołyńskie, ul. Wojewódzka L. 9.

DROGA * DO * SAN * FRANCISCO



Pisane na pokładzie „Ocean Street" w 1849 r.

Odnalazł i rycinami zaopatrzył JANUSZ MARJA BRZESKI

PRZYGOTOWANIA.

We Francji mówiono tylko o młynie kapitana Suttera. Już ochrzczono Kalifornję mianem: Eldorado. Po wszystkich rogach ulic tworzyły się towarzystwa, w celu przewożenia podróżnych. Zdawaćby się mogło, iż po raz drugi odkryto Amerykę.

Przedsiębiorcy silili się na obietnice. Podpisywano kontrakty, umawiano się o ceny. Nastrój rósł i potęgował się co dnia. Wiosna burzyła krew i podniecała głowy żądne przygody. I na dobitek we Francji brakowało pracy.

Postanowiłem i ja zaryzykować tysiąc franków i moje życie — dwie jedyne rzeczy będące wyłączną moją własnością. Nie byłem dość majętnym, ażeby siedzieć z założonemi rękami, a zato dość młodym, aby poświęcić rok lub dwa, dla przekonania się, co przyniesie mi los, i wreszcie dość namiętnym, aby dać się porwać namowom i powszechnej gorączce. Poza tem zaznajomiłem się już z dalekiemi wodami. Kiedyś ochrzczono mnie pod równikiem.

Teraz miałem 24 lata. Taki wiek, to wygrana z życiem w karty, wygrana, która oszałamia zwodniczem szczęściem. Powziąłem więc rychło zamiar, pozostawał jedynie wybór towarzystwa przewozowego. Zastanawiałem się nad tem tak długo i dobrze, że wybór uczyniłem najgorszy.



Była to fregata amerykańska...

Warunki przejazdu były takie: każdy ze stowarzyszonych miał złożyć tysiąc franków na koszty przejazdu i wyżywienia. Mieliśmy też wspólnie pracować i dzielić się zyskiem. Oprócz tego towarzystwo zapewniało na miejscu mieszkanie w domkach drewnianych, które nasz statek z sobą miał przewieźć. Lekarz, udający się tym co i my statkiem, miał nam być w razie potrzeby pomocnym. Było to jakby niemiłe memento...

Ekwipunek nasz składał się z wielu użytecznych rzeczy, wymienionych w spisie. — M. in. każdy na własny koszt musiał sobie sprawić dubeltówkę kalibrową z bagnetem. — Pistolety były dowolnego kształtu i kalibru. Umówiono się, że gdy staniemy na miejscu winniśmy pracować pod przewodnictwem zwierzchnictwa przez nas obranego. Ci zaś zmieniani co trzy miesiące pracować mieli wraz z nami.

Wszystkie te układy zawarliśmy w Paryżu, a spotkać mieliśmy się w Nantes, gdzie towarzystwo miało nabyć statek 400-beczkowy za pośrednictwem bankiera tego miasta. Na statku złożony miał zostać ładunek towarów, sprawionych kosztem wspomnianego bankiera na korzyść naszą, z zapewnieniem mu wszakże zysku. — Wszystkie nakłady ponosić miało towarzytswo, zapewniając zwrot kapitału z procentem 5 od sta. Było to powabne. Ale... o Boże, jak byliśmy naiwni!...



Tańczono i śpiewano piosenki...

* * *

Dnia 21 maja 1849 r. wyjechałem do Nantes. Stanąłem w hotelu handlowym. Towarzyszami moimi, udającymi się w tę samą drogę byli: de Mirandole i Gauthier. Sąsiad mój wiejski i towarzysz zażyłości dzieciństwa, Tillier, już poprzednio odpłynął i jego własnie odjazd nakłonił mnie do naśladowania tego przykładu.

W Nantes wszczęły się pierwsze trudności. Wskutek nieporozumień zaszłych między stowarzyszonymi a dyrektorami — bankier odmówił zaliczeń. Sprzedający statek, który już ugodził kapitana i majtków, widział się zmuszonym wziąć wszystko na swój rachunek. Prawna umowa z Towarzystwem dała taki rezultat, że stratę ponieśli stowarzyszeni, którym odtrącono po 400 franków. Za resztę, t. j. 600 fr., Towarzystwo zmuszone było wyprawić nas do Kalifornji.

Wsadzono nas wreszcie na bryk, który przewiózł nas z Nantes do Caen. Tam wsiedliśmy na statek parowy, który popłynął do Havru.

Wyjazd za Ocean wyznaczono na 25 lipca. Ale dzień po dniu schodził na zwłoce z błahych powodów, aż dowiedzieliśmy się wreszcie, że odpłyniemy dopiero 30-go. Jeszcze raz ukorzyliśmy się i czekali. Dnia 30 lipca znowu wieść hiobowa została nam oznajmiona: odpłyniemy 20 sierpnia.

Najubożsi poczęli się buntować; nie wiedzieli bowiem jak przeżyją ten czas. Pomogli im bogatsi. Czekano 20 sierpnia. Ale w chwili odjazdu wykryto, że Towarzystwo, udając większe od naszego ubóstwo, nie może dostarczyć rzeczy pierwszej potrzeby w podobnej podróży, jak: cukier, herbata, kawa, rum i wódka. Znowu sięgnęliśmy do kieszeni.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień wyjazdu. Wiele rodzin i znajomych podróżnych przybyło do Havru, by pożegnać się z nami.

Postanowiono złożyć się na Mszę, odbyć się mającą na cel naszego szczęśliwego przebycia. Mało było pośród nas bezbożnych. Okazało się to tem szczególniej przed podróżą tak daleką.

— Ważną jest Msza w chwili podobnego wyjazdu, albowiem dla wielu jest ona żałobną...

Uwagę tę rzucił urodziwy mężczyzna, redaktor Dziennika Giełdowego nazwiskiem Bottin. Zdanie to głośno objawione potwierdziłem skinieniem, jako zgodne z mem wewnętrznem przekonaniem.

Po zakończeniu Mszy zaproponowano ucztę braterską, to jest taką, żeby każdy się do niej przyczynił. Było nas 150 pasażerórw. Z kieszeni wspomnianych popłynęły pieniądze, czyniąc sumę 225 fr. Krewni i przyjaciele pomogli do składki, a armator naszego statku nietylko wyraził swój udział, ale przysłał dwa kosze szampana. O godz. 5-tej mieliśmy zasiąść w porcie do stołu.

Wszyscy bez wyjątku przybyli punktualnie. Biesiadnicy zajęli miejsca i usiłowali być wesołymi. Wydaje mi się, że im głośniej było przy stole, im huczniej wznoszono toasty, tem boleśniej pękały serca. Życzono nam najobfitszych placerów w San Joaquin i najbogatszych żył w Sakramento. Jednak przeczuwałem, że najgorętszym, acz nie objawionym życzeniem wszystkich było, abyśmy wogóle nie jechali.

Obiad skończył się nocą. Nazajutrz majtkowie odbyli procesję po mieście. Pochód zmierzał do portu, w którym zgromadziła się ludność, chcąc nas pożegnać. Każdy z nas biegał po sklepach za sprawunkami. Ja w ostatniej chwili kupiłem 10 funtów prochu i 40 ołowiu.

O 11-tej wypłynęliśmy przy pomyślnym wietrze z portu. Statek nasz był rybacki, 500-beczkowy i znany jako najlepszy. Nazywał się „Ocean Street".

Śpiewając pieśni narodowe opuszczaliśmy port. Zdala, z brzegu i z skał powiewały chust-

ki. W połowie przystani armator i znajomi, którzy nas odprowadzali pożegnali się. Było to powtórne rozstanie, dotkliwsze od pierwszego. Kobiety płakały, a mężczyźni zazdrościli im wylewności i łatwego okazywania uczuć. Dopóki ziemia była widoczną wszystkie oczy na nią były zwrócone.

NA MORZU.

24 sierpnia.

Ziemia zniknęła. Długo jeszcze wypatrujemy jej, czy nie wyłoni się do nas. Napróżno! Wszyscy stoją nieruchomo, nie wiedząc, co począć i czem się zająć. Są wytrąceni ze swych zwyczajów. Dopiero głośny dzwon, oznajmiający obiad, przypomina o nowym trybie dnia.

Stół zastawiono na pomoście, a właściwie cały pomost służy jako stół. Miejscowość bardzo jest zacieśniona. Na pomoście bowiem stoją skrzynie z kwasem siarczanym i beczki z wodą destylowaną do picia, oraz deski przysposobione do budowli. Prócz tego wieziemy kilkanaście domków, które na miejscu trzeba tylko złożyć. Kosztowały one w Havrze po 100 fr.

Siadamy na sposób wschodni, a więc na ziemi i zabieramy się do jedzenia. Tego dnia nikt jeszcze nie zasłabł na chorobę morską, a przecież nikt nie je z apetytem.

Pierwszego dnia, jak to jest zwyczajem morskim, obiad składa się z zupy, mięsa gotowanego, kwaterki wina i małego kawałka chleba. Te małe racje chleba dają się domyślać, że nie mamy zapasu mąki. Będziemy więc jeść suchary.

25 sierpia.

Poprzedniego dnia o 8-mej zaczął wiać wiatr południowy. Utrzymał on się całą noc i wiał tak gwałtownie, że zapędził nas do brzegów Anglji.

Rano zbliżył się do nas statek rybacki, wiozący ryby. Rozpoczął się targ.

Jedną z potrzeb człowieka oddalającego się od ziemi, znajdującego się między wodą a niebem, jest udzielić o sobie wiadomości tym, których opuścił. Człowiek ten, przywiązując się piśmiennie do ziemi, pociesza się zapewnieniem siebie samego, że nie jest zgubionym. Dlatego każdy skorzystał ochoczo z usług rybaków i wręczył im swą korespondencję. Gdy targów dokonano i listy zostały zabrane, rybak oddalił się, jak oficjalista pocztowy.

Nieszczęśliwi ci, którzy w podobnych wypadkach nie mają do kogo skreślić paru słów.

26 sierpnia.

Wiatr zmienił się i nie przyczynia nam już straty ani trudu.

29 sierpnia.

Jest nas 150 pasażerów, w tej liczbie 15 kobiet. Osada okrętowa składa się z kapitana, jego zastępcy, porucznika, sternika i 8 majtków. Spodni pomost przeznaczony dla podróżnych, mieści 4 rzędy kajut. W każdej kajucie znajdują się dwa łóżka. Ja mieszkam z panem de Mirandole.

Podróżnych zebrano z trzech towarzystw, stąd wynikło, że miejsca jest mało. Szczególnie bagaże musiały pozostać przed kajutami, reszta pakunków została spuszczona na dno, gdzie wieziemy jeszcze towary armatora, a to: alkohol i wyroby żelazne

3 września.

Minęliśmy Maderę.

Kapitan cieszył nas nadzieją wylądowania na tej wyspie dla wzięcia kartofli. Widocznie chciał dać nam rekompensatę za oszczędność w chlebie. Ale wiatr był pomyślny. Kapitan przedstawił nam oszczędność czasu, jaka wyniknie z żeglowania bezpośrednio i pomimo uwag naszych, nie zatrzymaliśmy się.

Kapitan jest panem na statku. Nasz uznał, że dobry wiatr zastąpi brak kartofli.

5 września.

O pasażerkach wspomniałem już. Każdy pojmie, że nie wybrały się one w celu zostania zakonnicami. Wynikło stąd, że jakkolwiek szybko pędził statek — szybciej rozwijały się tkliwe uczucia. Oprócz loteryjki, tryktratu, ekarty i domina — gry Amora zajmowały umysły.

Dziś zawarto pierwszy rzeczywisty związek małżeński. Ja i pani Armanda B. odprawialiśmy rolę rodziców. Inni byli świadkami i urzędnikami, pełniąc swe obowiązki z nadzwyczajną powagą.

Ręka mi drżała, gdym podtrzymywał ramię Armandy.

10 września.

Jesteśmy na wysokości Senegalu.

Majtek na straży będący, oznajmił nam okręt w pobliżu będący. Była to fregata amerykańska, która pilnowała na tych wodach handlu niewolnikami. Pędziła ona do nas, wywiesiwszy sygnały. Gdy zbliżyła się, mogliśmy poznać całą jej świetność. Miała przez środek pasma czerwone, oznaczające baterje działowe. Zresztą cała malowana była na czarno, jak okręt Czerwonego Korsarza.



Armanda.

Wymieniliśmy z fregatą dzień dobry, żeglarzy, tj. długość i szerokość jeograficzną, poczem pojechaliśmy kazdy w swoją stronę.

Wiadomości jeograficzne, otrzymane od Amerykan nie były dla nas obojętnemi, gdyż nasz chronometr był niedokładny.

12 września.

Zbliżamy się do równika. Woda morska przybrała barwę błękitu.

Całemi dniami upatruję sylwetki Armandy.

13 września.

Utworzył się z pośród pasażerów — sąd. Wynikła zaś potrzeba tegoż z następującej okoliczności. —Przyjaciel nasz, Sotin, zabrał z sobą swoją przyjaciółkę. Przed wyjazdem z Havru poczynił dla niej wiele różnych sprawunków kosztem swego ekwipunku. Podarował jej suknie jedwabne i wełniane, kapelusze, czepki, koronkowe rękawiczki.

Zrządzeniem jednak pomyłki Kupida, czy też dzięki niestałości niewieściej lub dziwactwa, które przypisać może należy podróżowaniu — panna Aneta upodobała sobie bardziej redaktora Bottin — od swego dotychczasowego protektora. Z tej racji Sotin zabrał wszystkie rzeczy Anecie, pozostawiając ją w negliżu, który, jak uznaliśmy zgodnie, bardzo był do twarzy nadobnej panience. Sotin utrzymywał, że jakkolwiek stracił prawa nad kobietą, to jednak nie powinien ich gubić co do rzeczy.

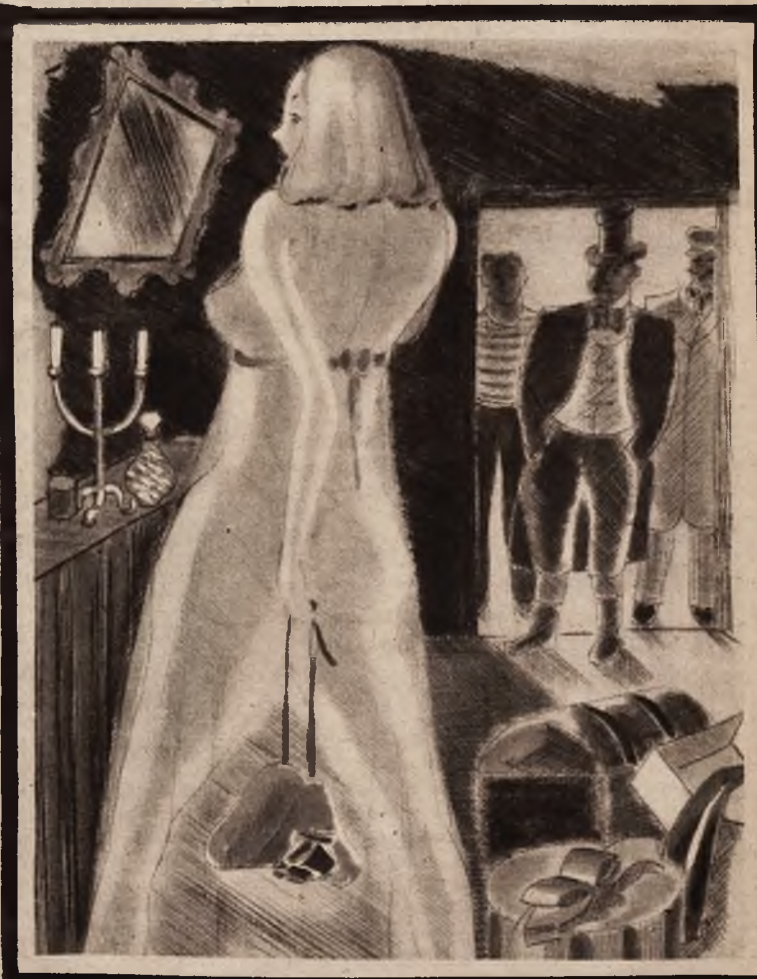
Pomimo, że gorąco było pod równikiem. to jednak odzież panny okazała się zbyt lekką i Aneta wystąpiła z zażaleniem do sądu. Sędziowie wydali po naradzie wyrok godny Salomona. Orzekli oni: że p. Aneta ma prawo rozporządzać swem sercem nawet wedle swego widzimisie, i że Sotin ma jej pozostawić ubranie potrzebne, a to: bieliznę. obuwie, suknie, kapelusz i czepek. Reszta miała pozotać przy Sotin'ie.

Sotin nie bardzo zachwycony był wyrokiem, ale poddać się musiał. Bottin ofiarował swej nowej przyjaciółce szlafrok na suknię i kołdrę, z której uszyto salopę.

Przyznać musieliśmy, że Aneta ślicznie wyglądała w nowym ubiorze.

14 września.

Prujemy rozległe ławy zielska — zwanego winogradem zwrotnikowym. Wkoło naszego statku fruwają ryby latające. Bonity i dorady ciągną chmarami opodal. Rozkoszą jest patrzeć, jak nasz statek szybuje, robiąc w najgorszej porze 6 do 7 węzłów.



W negliżu bardzo było do twarzy nadobnej Anecie.

15 września.

Kocham Armandę.

16 września.

Dopłynęliśmy i przebyliśmy równik. Z tej racji odbyły się uroczystości na statku. Ukazał się Neptun bardzo uprzejmy dla dam i Amfitryta, zalotna z mężczyznami. Trytony oblewały pasażerów wodą. Ja, ponieważ nie byłem nowicjuszem, zająłem honorowe miejsce podczas uroczytości, a to na maszcie.

19 września.

Przed kilku dniami rozpoczął się połów doradów i bonitów. Jest to niemowlęctwo rybołóstwa, nie dające się porównać z podstępami, używanemi przez starych rybaków z nad Sekwany. Na haczykach, które zanurzają się w wodzie, przymocowujemy sztuczne ryby latające. Ilekroć przynęta wynurza się z wody, podciągana ręką naszą, dorady i bonity chwytają paszczęką przynętę i pozostają na haczykach.

Ryby te, to prawdziwa manna boża, zesłana biednym podróżnym w tej gorącej strefie.

23 wrzesieśnia.

Tak byłem oszołomiony szczęściem, że zapomniałem o pisaniu pamiętnika. A stało się to z takiego powodu:

Kiedy przed trzema dniami zajmowałem się łowieniem, wydażył mi się wypadek, mogący się żałośnie dla mnie zakończyć. Łowiąc dorady, mogłem sam zostać przez nie złowionym. Właśnie zajęty byłem podciąganiem sznura, kiedy wielka dorada uczepiła się haka. W tejże samej chwili statek opadł z fali, a ja będąc źle oparty o barjerę, chyliłem się, utraciwszy równowagę, ku zgubnym falom. Wtedy usłyszałem okrzyk i ktoś mnie mocno podtrzymał. Kiedy odwróciłem się ku wybawcy, przestrach mój zmienił się w bezgraniczne uniesienie. Armanda, bardzo blada, patrzyła mi w oczy.

Ryba szamotała się, a sznur przecinał ręce, ale ja nie czułem bólu, albowiem zrozumiałem, że uzyskałem coś ponad wszelkie dobra: miłość Armandy.

— Armando, weź moje życie, które wydarłaś z otchłani — szepnąłem.

— Więc i ty mnie kochasz? — zapytała. Jak odnalazłeś to uczucie?

— Cierpiałem, Armando.

I ja cierpiałam — odpowiedziała.

Padłem jej do kolan, poczem uniosłem się do ust, tuląc ją całą do siebie.

30 wrzesień.

Drogę odbywamy wciąż przy pomyślnym wietrze.

5 październik.

Jestem szczęśliwy. Wraz z Armandą stronimy od ludzi, co jak zawsze bywa, budzi w nich zazdrość i pocieszne żarty.

20 październik.

Dostrzegliśmy pobrzeże Brezylji.
Kocham Armandę i jestem kochany.

27 październik.

Zbliżamy się do lądu niedaleko Montevideo, tej drugiej Troi, oblęganej od lat ośmiu.

1 listopad.

Ci, którzy najbradziej wycierpieli na morzu z powodu delikatnej natury, już się przyzwyczaili. Pomimo niewygód i nieprzyjemności tak długiej podróży jesteśmy jak najweselsi. Każdy z nas bowiem goni swój złoty los.

Dni gorące, nieznośne są do przetrwania. Ale z nadejściem wieczoru wszyscy udają się na pokład i układają wedle upodobania. Wczoraj Bottin opowiadał zabawne historje. Trzeba przyznać, że p. Aneta słusznie wybrała go, przenosząc nad Sotin'a. Wprawdzie i tamten nie jest bez wartości, ale Bottin góruje w towarzystwie. Każdy go lubi za przyjemność, jaką mu sprawia. Bottin układa też piosenki, które nuci Hennecart, posiadający doskonały głos.

15 listopad.

W czwartki i niedziele odbywają się bale. Pomost, zawalony w dzień wyjazdu beczkami z wodą, opróżnił się stopniowo, użyczając coraz więcej miejsca na salę balową. Podczas balów przygrywa pewien Niemiec na trąbie i Francuz na piculinie. Bottin ułożył wierszyk na mnie i Armandę, w którym śmieje się z nas i chwali prawdziwą miłość.

17 listopad.

Wśród pląsów przybyliśmy do przylądka Horn. Z gęstej mgły wyłoniła się Ziemia Ognista. Pędzimy z wiatrem blisko lądu. Na brzegu — jak to widzimy — przechadzają się wielkie ptaki. Zatrzymują się one, czasem i przypatrują nam uważnie. Armandę przytuloną do mnie, cieszy wszystko nowe, co spostrzeże.

18 listopad.

Rozpoczęliśmy połowy na damiery i albatrosy. Połowy te są wspólne, jak poprzednio na bonity i dorady. Z początku strzelaliśmy do ptaków, ale okazało się, oszczędniej chwytać je na wędę, na której mocujemy kawałek słoniny. Ptaki rzucają się na przynętę z właściwą sobie żarłocznością i już są nasze. Zabijamy je, skubiemy i marynujemy w wódce, poczem w skutku przypraw dodawanych przez naszego wybornego kuchmistrza stają się one zdatne do jedzenia.

Kapitan uprzedził nas o niebezpiecznej koło przylądka przeprawie. Dotąd wszystko szło najlepiej. Dopiero wieczorem zerwał się wicher gwałtowny, wyziewany z płuc olbrzyma Adamactora. Myśleliśmy, że uda nam się omylić jego czujność, lecz olbrzym nas zoczył.

Wicher podobny do burzy zmusił nas do zwinięcia żagli, poczem gdy statek już nie mógł się oprzeć gwałtowności żywiołu, pasażerowie zeszli pod pokład. Majtkowie bardzo byli z tego radzi, gdyż nic tak w pracy nie przeszkadza, jak ludzie na pokładzie.

Ledwie zeszliśmy na dół, gdy uderzenie morza oderwało tylne burty, poczem zaczęło bić w ten wyłom. W 10 minut było już sporo wody na dolnym pomoście, a bagaże zaczęły pływać, co zawsze jest złą oznaką. Armanda po kolana zamoczona w wodzie objęła mnie i powtarzała:

— Nie boję się nawet umrzeć, byleś był blisko mnie...

Ale nie poddawaliśmy się złym myślom. Kapitan zaś rzucił rozkaz:

— Do pomp!

Warto było widzieć z jaką gorliwością pasażerowie zabrali się do dzieła. Kobiety zalęknione z początku, uspokoiły się nie potopiwszy się odrazu i przyszły do nas, dodając żarty i śmiech do ogólnej pracy. Noc była ciemna. Z góry dochodził świst przeciągły i skowyt fal. Burza przelewała się przez statek. Byliśmy bliżej śmierci, niż życia.

Nakoniec zaświtał dzień, a z nim przyszedł wschodni wiatr. Naprawiono żagle, poczem puściliśmy się w dalszą drogę. Ułożyłem Armandę do snu i sam runąłem na posłanie jak martwy.

20 listopad.

Okrążyliśmy Przylądek. Przed nami płynie trójmasztowiec. Wpływamy na Ocean Spokojny, który poznaliśmy po szerokości bałwanów.

24 listopad.

Wszystkie usta powtarzają: Valparaiso! Valparaiso!

Zapas kartofli chybił. Brak zastąpiono racją mąki, wódki i melissu. Robimy z tego plumpuddingi. Lecz kartofle nie zastąpią chleba, plumpudding zaś kartofli. Valparaiso więc jest dla nas ziemią obiecaną. Jesteśmy od trzech miesięcy na morzu. Z Valparaiso pozostanie nam jeszcze 1/4 drogi, ta przebyta zaś jest już uniesiona przez burze u przylądka Horn.

10 grudnia.

Głosy majtków z masztów obwieściły: ziemia! ziemia!

Pasażerowie biegną, by przysposobić się do zejścia na ląd.

Zawinęliśmy do wielkiej przystani. Na statkach, zwanych wielorybiemi, dostaliśmy się za opłatą jednego reala od osoby — na brzeg. Umówiliśmy się, że zabawimy na lądzie 36 godzin. Ja z Armandą stanęliśmy w hotelu, poczem poszliśmy zwiedzić teatr. Leży on przy placu, podobno najrozkoszniejszym na świecie. Plac ten posiada wodotrysk i jest zasiany drzewami pomarańczowemi.

Pod rękę z Armandą odbyliśmy przechadzkę, ożywiani wieczornym wietrzykiem, napojeni wonią pomarańcz. Towarzysze nasi biegali od Fortop do Maintop. Są to bale publiczne, podobne do Musicos w Amsterdamie. Spotkać tam można piękne Chilianki, które wykonują tańce, jakich sobie nie można wyobrazić we Francji. Gitary towarzyszą tym pląsom. Tam też w tych salach powstają kłótnie, po których nastaje straszna zemsta i rozpoczynają się pojedynki słowami, po których przychodzą razy nożem.

11 grudnia.

Noc przeszła nam wśród marzeń, by trwała jaknajdłużej. Późno już obudziłem śpiącą rozkosznie Armandę, by jej zaproponować zabawę konnej przejażdżki. Francuzi bowiem namiętnie lubią konną jazdę, szczególnie zaś Paryżanie, którzy brali lekcje na osłach w Montmorency lub koniach w St. Germain.

Armanda chętnie zgodziła się na mój pomysł. Główną też przyjemnością tego dnia była przejażdżka po placu St. Jago i podziwianie pysznych jeźdźców chilijskich w rozochałych spodniach haftowanych od dołu, w okrągłych kamizelkach, w kapeluszach szpiczastych z szerokiemi skrzydłami, z zarzuconemi punszami na ramieniu, z lassem w ręku, szablą u boku i pistoletami za pasem. Jeźdźcy ci, pochyleni na swych koniach, pędzili galopem, siedząc w wysokich, haftowanych jaskrawo siodłach, jak w fotelach.

Dzień minął. Zbliżył się wieczór, a z nim noc wytęskniona.

O Armando!...

12 grudnia.

Kapitan zalecił powrót we czwartek. Znakiem do zbiórki miała być bandera francuska, wywieszona w rogu, a bandera pąsowa na przednim maszcie. O 8-mej zrana we czwartek byliśmy wszyscy w przystani. Spostrzegliśmy banderę czerwoną. Powiedziano nam, że wisi ona od dwóch godzin. Pozostało nam trzy godziny.

Ja i Armanda pobiegliśmy jeszcze kupić chleba Chilijczyków. Składa on się z suszonych owoców i sprzedają go w kształcie serów.

O 11-tej najęliśmy te same statki i po tej samej cenie wróciliśmy na „Ocean Street" i zajęliśmy nasze kajuty. O 2-giej podniesiono kotwicę i rozpuszczono żagle. Przy pomyślnym wietrze wypłynęliśmy na morze, mijając bryg sardyński i trójmasztowiec angielski. Wkrótce ziemia zniknęła. Pozostało nam 5 tygodni do osiągnięcia celu: złotych żył w Sakramento.

14 grudnia.

W Valparaiso na fregacie francuskiej „Algeria" pozostał jeden z naszych majtków, oddany do służby za sprzeczkę z porucznikiem.

Nie rozumiejącym tych słów należy wyjaśnić, co oznacza „oddać do służby". Otóż, gdy majtek źle postępuje na statku kupiec-

Dokończenie na str. 24-tej.

AKTOR — I JEGO MASKA

MICHAŁ ZNICZ

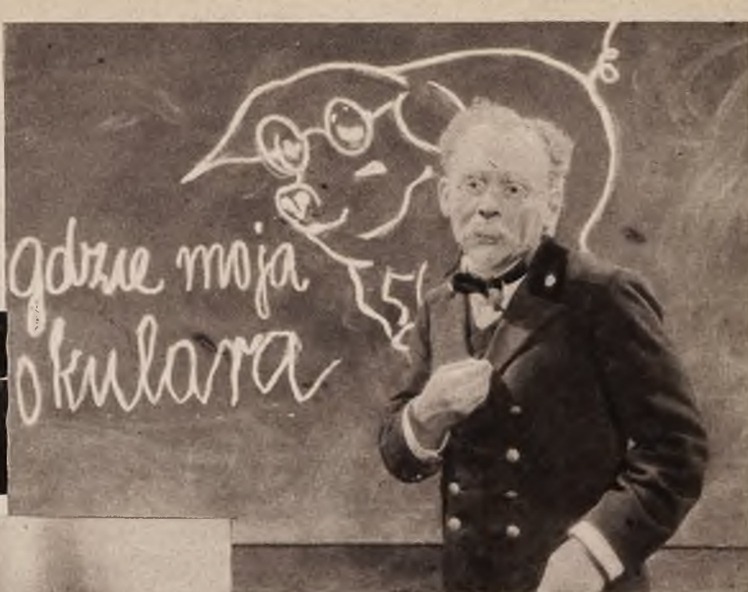
Jednym z najpopularniejszych aktorów w Polsce, zwłaszcza od czasów wybitnego zwiększenia się produkcji polskich filmów — jest Michał Znicz. Tego świetnego charakterystycznego aktora, obdarzonego wrodzoną „vis comica" podziwialiśmy w niezliczonej ilości ról zarówno na deskach scenicznych i estradowych a także i na srebrnym ekranie. Niemniej pamiętać należy, iż skala możliwości tego artysty sięga od ról typowo farsowych, do skrajnie dramatycznych, jakimi były jego role n. p. w sztuce „Hinkeman" Tollera, lub w głośnym w swoim czasie filmie „Młody las", w którym Znicz odtwarzał postać profesora Athenota. Ta wielka skala możliwości, gdy chodzi o Michała Znicza, zasługuje na specjalne podkreślenie i ona właśnie skłoniła nas do zaproszenia znanego artysty do naszej rubryki p. t. „Aktor i jego maska". Niewątpliwie wynurzenia artysty o tak szerokich zainteresowaniach i kontrastowych możliwościach muszą wypaść ciekawie i odsłonić nam dalszy rąbek tajemnic z zakresu sztuki charakteryzacji aktorskiej.

— W czem tkwi tajemnica dobrej tak zwanej „maski" aktora? — zapytuję artystę. — Szczególnie interesująca byłaby kwestja różnicy, jaka zachodzi pomiędzy przygotowaniem się aktora do roli komicznej, a roli dramatycznej?

— Zasadniczo nie widzę różnicy — mówi po chwili namysłu Michał Znicz — pomiędzy przygotowywaniem się aktora do roli komicznej, farsowej, czy też do roli o zacięciu dramatycznem. I tu i tam wymagana jest praca jednakowa, jednakowo poważnie potraktowana. Mówię o tem dlatego, ponieważ — jak sądzę — publiczności mogłoby się wydawać, iż rola komiczna jest jakby „łatwiejsza". Tak oczywiście nie jest. W każdej nowej roli, w tworzeniu każdej maski zarówno komicznej czy dramatycznej — główną rzeczą jest uprawdopodobnić na scenie, czy w czasie gry filmowej to wszystko, czego wymagał od aktora autor sztuki czy scenarzysta filmowy. Uprawdopodobnić trzeba zarówno przeżycia wewnętrzne, sytuacje sceniczne, jak i wygląd zewnętrzny.

— To uprawdopodobnienie — ciągnie dalej Michał Znicz — jest czasami bardzo trudne, szczególnie trudne w rolach charakterystycznych. Musimy pamiętać, że niekiedy autorzy, zwłaszcza fars, które już z założenia swego zawierają często sytuacje nieprawdopodobne, żądają od aktora stworzenia postaci innych, bardziej jakgdyby „skondensowanych", wybitniejszych w swym rysie charakterystycznym niż te, jakie widzimy w życiu codziennem.

— Z drugiej strony — publiczność nie lubi rzeczy nieprawdopodobnych.



Michał Znicz jako profesor Athenot w filmie „Młody las".
Fot. Libkow-Film — Warszawa.



Na lewo: Znicz — sędzia śledczy, zwany „Hau-Hau" ze sztuki o tymże tytule, mówi: „Tę różę miał przestępca w ręku. Co stąd wynika?"



Wspaniałą maskę stworzył Znicz jako „dzielny wojak Szwejk".



W kole: ...a tak wygląda wielki artysta ze swym ulubieńcem buldogiem „Szwejkem", bez charakteryzacji.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

— O właśnie! — odpowiada artysta. — Tworząc więc sylwetkę charakterystyczną, należy dążyć do tego, by publiczność zapomniała o tem, iż gesty, sposób poruszania się, wymowa, całe zachowanie się są wyuczone, wyćwiczone. Publiczność musi uwierzyć w to wszystko, co aktor podaje ze sceny. A jeśli uwierzy, jeśli pomyśli, że „aktor przeżywa swą rolę", wtedy można mówić dopiero o zwycięstwie...

— A w jaki sposób dochodzi pan do owego „uprawdopodobniania"? — zapytuję dalej.

— Tego nie da się powiedzieć w kilku słowach — mówi Michał Znicz. Jest to długa praca, zaczynająca się już w czasie pierwszych prób. Przedewszystkiem musi się dobrze poznać rolę. Z biegiem prób zaczyna się coraz bardziej ukazywać w myśli sylwetka człowieka, którego należy „stworzyć". Przychodzą na myśl te czy inne gesty, różne ważne szczegóły, nieraz drobne, niezauważone może nawet potem przez widza, które w sumie dadzą dopiero konkretną postać. Dużą rolę odgrywają tu tak zwane popularnie „tricki", czy „gierki". Są to pociągnięcia czasem najsubtelniejsze, a jednak one właśnie wywołać mogą największy efekt. Przytem im są dyskretniejsze, tem lepszą dadzą całość. Z takich najulubieńszych moich „gierek" jest scena w sztuce „Kłopoty Bourrachon'a", gdzie rola moja wymagała tego, by w chwili, gdy publiczność ogarniał niemal huragan śmiechu (po opowiadaniu innego aktora o pewnem komicznem zdarzeniu), ukazały mi się łzy w oczach.

— Łzy na zawołanie!? To chyba niemożliwe! — mówię.

— A jednak musiałem je z siebie wycisnąć — no i udawało się! Pamiętam — opowiada Znicz — efekt był codziennie niespodziewany. Śmiech publiczności umilkał jak ucięty. I wtedy dopiero ukazywało się właściwe oblicze postaci przeze mnie odtwarzanej: pozornie dla publiczności śmiesznej, a w istocie człowieka, który cierpiał... I niech mi pan wierzy — kończy artysta — ta jedna scena dawała mi największą satysfakcję z całej mojej dwudziestoletniej karjery aktorskiej. Nietrudno jest ludzi rozśmieszyć! Stokroć trudniej jest wywołać nastrój — i tym nastrojem ukazać odtwarzaną postać w jej istotnym rysie charakterystycznym...

Romit.



MRÓZ I...

ALPY BAWARSKIE.

...UPAŁ.
KALIFORNJA.
Presse Photo

KARTA • Z • DZIEJÓW • KULTURY:

METAMORFOZY PIERŚCIENIA

Jeżeli dziś pierścień stanowi jedynie ozdobę ręki kobiecej lub męskiej i ma jeszcze tradycyjne zastosowanie przy ceremonji zaręczyn i ślubu, to dawniej, gdy ludzkość o wiele była skłonniejsza do symbolicznego ujmowania wielu rzeczy, grał on rolę znacznie większą. Tak, jak dziś obrączka określa dozgonny związek dwóch osób, tak dawniej darowywano pieścienie na znak przyjaźni i gotowości udzielenia pomocy przyjacielowi.

Ale poza temi idealnemi momentami odgrywał pierścień również dużą rolę praktyczną w życiu ludzkiem. We wczesnem średniowieczu, kiedy poza nielicznymi duchownymi i uczonymi, mało kto umiał czytać, — wiadomo, że cesarz Karol Wielki do końca życia nie posiadł tej sztuki i tembardziej pilnował, aby w jego szkołach młodzież uczyła się czytać i pisać, — pierścień służył jako dowód identyczności danej osoby, przesyłany był lub ukazywany jako dokument, a pieczęć powstająca przez odciśnięcie znajdującego się na pierścieniu znaku i napisu w wosku, służyła niekiedy zamiast podpisu nieświadomego sztuki pisarskiej właściciela. — Stąd też wielka cześć i pieczołowitość, jaką otaczano pieczęcie w średniowieczu, nie dająca się dzisiaj zrozumieć o tyle, że posiadamy obecnie daleko lepsze sposoby zagwarantowania autentyczności dokumentu. Dzisiaj pieczęć stała się właściwie już tylko zabytkiem i wspomnieniem po owych czasach.

Wielkie, praktyczne i symboliczne znaczenie, jakie pierścienie posiadały w przeszłości, poznajemy przedewszystkiem z wielu ciekawych legend, właściwych wszystkim krajom. Przypomnijmy choćby legendę herbową rodu Ogończyków, mówiącą o rycerzu, który nie mogąc poślubić swej ukochanej, na znak wierności pozostawił jej pół obrączki, przyrzekając przybyć każdej chwili na jej wezwanie, gdy otrzyma od niej drugą połowę pierścienia. Podobne legendy, w których pierścień gra główną rolę, odnoszą się do herbu Drogosław, i wielu innych. Istnieje również piękna legenda o św. Kindze, która rzuciwszy w okolicach Wieliczki złoty pierścień w szczelinę skały, stworzyła w ten sposób jedno z bogactw Polski — pokłady soli które już w średniowieczu dawały pokaźny dochód. Każdy kraj posiada podobne legendy: czy to będą sagi niemieckie o Nibelungach, czy też sagi skandynawskie, wszędzie pierścień jest nieraz osią akcji i ważnych wydarzeń.

Również jako odznaka godności, czy urzędu jest on znany już w czasach rzymskich, ba, nawet w egipskich. Do koronacyjnego sprzętu cesarzy rzymskich należy również wspaniały pierścień, podobnie też każdy wyższy urząd kościelny łączy się z ozdobnym pierścieniem, papież zaś po wyborze na najwyższy ten urząd w chrześcijaństwie otrzymuje t. zw. „pierścień Rybaka", to jest wszystkie ważniejsze akty Stolicy Apostolskiej wydawane są pod pieczęcią Rybaka — „sub annulo riscatoris".

Ale nietylko tym poważnym, i możnaby powiedzieć społecznym celom służyły i służą w dalszym ciągu pierścienie i obrączki wszelkiego rodzaju: obecnie daleko większe zastosowanie mają one w modzie, jako ozdoba ręki kobiecej, lub nawet ręki męskiej. Zwłaszcza w epoce, kiedy złotnictwo stanęło na wielkiej wyżynie artystycznej, tj. w XV i XVI wieku, ogół zamożnych ludzi nosił wielką ilość pierścieni, przyczem mężczyźni bynajmniej nie ustępowali kobietom. Spójrzmy tylko naprzykład na portret Erazma z Rotterdamu, pendzla Holbeina, lub też na portrety licznych angielskich dygnitarzy, a zobaczymy, jak przeładowane były ręce ówczesnych ludzi pierścieniami. Ciekawem jest, że noszono przytem chętnie, zwłaszcza pierścienie herbowe, na palcu wskazującym, który to zwyczaj do dziś dnia częściowo zachował się w Niemczech. Ale też u nas w Polsce lubowano się w pierścieniach: w każdym niemal testamencie z XVI, XVII lub XVIII wieku spotykamy wzmiankę o wielu pierścieniach, które liczono już nie na sztuki, a nieraz na tuziny.

Odwieczne łączenie pierścienia z pojęciem władzy i godności, znalazło swój wyraz w pierścieniach, służących jako odznaczenie, szanowane i poszukiwane narówni z orderami. Taki właśnie charakter posiadają pierścienie, rozdawane przez króla Stanisława Augusta po ogłoszeniu konstytucji 3 ma-



Egipski pierścień z I. w. p. Chr. (Kolekcja E. Guilhou).



Grecki pierścień emaljowany, IV w. p. Chr. (Kolekcja E. Guilhou).



Oryginalny okaz pierścienia z grawirunkiem, przedstawiającym głowę kobiety. (Kolekcja E. Guilhou).



Magiczny pierścień angielski z XVI w. z wyobrażeniem św. Jerzego. (Kolekcja E. Guilhou).



Na lewo: Rzymsko - egipski pierścień złoty z I-go w. p. Chr., z rzeźbionemi postaciami bogini Izys. (Kolekcja E. Guilhou).



Maddalena Doni, pendzla Rafaela. Obraz uwidacznia ciekawy sposób noszenia pierścionków przez kobiety renesansu.



Współczesny pierścień kobiecy z wielkim turmalinem.



Od lewej: Etruski pierścień złoty z V—VI w. p. Chr. — Bizantyński pierścień małżeński z V w. z portretem małżonków i napisem „Aristophanes i Wigilancja". (Kolekcja E. Guilhou).

ja 1791 r. osobom stanu mieszczańskiego, które okazały królowi przywiązanie i pomoc. Pierścienie te miały wygrawirowany napis S. A. R. (Stanislaus Augustus Rex), wewnątrz zaś obrączki „Fidibus manibus" (do wiernych rąk).

Podobny charakter zaszczytnego odznaczenia, posiadały obrączki rozdawane przez Tadeusza Kościuszkę w r. 1794, kiedy był Najwyższym Naczelnikiem siły zbrojnej. Widocznie żaden order, żadne inne odznaczenie nie mogło wyrazić symbolicznie zespolenia Naczelnika z Narodem, jak tylko obrączka. Zaopatrzone one były w numer porządkowy i posiadały napis: „Ojczyzna obrońcy swemu". „Gazeta Rządowa" z dnia 11 września 1794 r., mówiąc o tych obrączkach, tak się wyraża: „...tym celem Najwyższy Naczelnik dla dystyngujących się oficerów i żołnierzy ustanowił dystynkcję w obrączkach złotych, z najchlubniejszym dla serc obywatelskich napisem „Ojczyzna obrońcy swemu „Dystynkcja ta dawana będzie za zeznaniem komisji z 3 oficerów złożonej, którzy zaświadczą, że potykający się zasłużył sobie na nią" Wśród najwcześniej odznaczonych tą złotą obrączką znajdujemy nazwiska tak dobrze znanych nam mężów, jak gen. Zajączka, gen. Dąbrowskiego, gen. Haumana, prezydenta Warszawy Zakrzewskiego, brygadjera Kopcia itd. Później pierścień ten otrzymał również gen. Mokronoski, gen. Jasiński, gen. Madaliński, i wielu innych. Niestety lista tych odznaczonych tym cennym dowodem uznania Kościuszki nie jest dotychczas kompletnie zestawiona. Podobnie, choć w innym nieco sensie, wprowadzono pierścienie żelazne podczas wojny światowej w Niemczech, a następnie ostatnio, podczas wojny abisyńskiej, we Włoszech jako nagrodę dla obywateli, którzy złożyli na cele skarbu swe złote obrączki. Niemieckie obrączki miały napis „Gold gab ich für Eisen" i datę roku.

Niedawno temu odbyła się w Londynie aukcja wspaniałej kolekcji pierścieni Edwarda Guilhou, obejmującej ponad 800 sztuk. Niestety kolekcja została rozproszona, a tylko prasa podała wiele zdjęć najciekawszych okazów. Znajdowały się tam pierścienie z wszelkich epok: od staroegipskich (jeden z nich przedstawiał dwa popiersia bogini Izys) aż do średniowiecznych i nowszego pochodzenia, np. pierścień Jana Śmiałego, księcia Burgundji, znaleziony w jego sarkofagu w r. 1792. Niektóre z nich posiadają postać jakiejś świętej, np. Katarzyny, której przypisywano władzę wstrzymywania starzenia się, lub też znaki czyniące z pierścienia rodzaj amuletu. Wysoce ciekawy jest też pierścień królowej Bertildy z VII wieku, będący jednym z najstarszych sygnetów.

Zwyczaj noszenia pierścionków sygnetowych, tj. z herbem czy znakiem rodzinnym (gmerkiem) dochowała się do dziś dnia w wielu krajach, przedewszystkiem w Polsce, Niemczech, częściowo we Francji. Oczywiście, że nie mają one celów praktycznych jak dawniej, pozostały jednak w zwyczaju dla swej dawnej tradycji. Ale nie tylko tym celom zdobniczym czy praktycznym służyły pierścionki: w niejednej kronice, zwłaszcza włoskiej, czy francuskiej, spotykamy się z wiadomością, że ten czy ów wybitny mąż został zgładzony zapomocą zatrutego pierścionka. W zbrodniczym repertuarze intryg w czasach renesansu dużą też gra on rolę, bywa zaś używany przeważnie we Włoszech Kilka pięknych okazów takich pierścieni znajduje się w muzeum Cluny w Paryżu. Na pierścionkach tych znajdowały się ostre końce np. w postaci lwiej łapy, czy innych ozdób, zaopatrzone trucizną: skoro zadraśnięto skórę tym końcem, trucizna poczyna się sączyć do ranki.

W użyciu tych śmiercionośnych pierścionków odznaczali się podobno Borgiowie, ale mieli w tym zakresie wielu niemniej „dzielnych" konkurentów. Truciznę w pierścionku miał też nosić Napoleon I, postanowiwszy przy pierwszej przegranej bitwie odebrać sobie życie.

Pierścienie tego rodzaju odegrały nieraz w historji anonimową, niemniej jednak, poważną rolę.

Ciekawa historja łączy się z pieścieniem Karola I, króla angielskiego, ozdobionego emaljowaną trupią główką. W przeddzień ścięcia, tj. 29 stycznia 1649, król podarował pierścień pewnemu pułkownikowi, świadkowi jego ostatnich chwil. W r. 1877 pierścionek ten został sprzedany z licytacji za 1500 fr.

Jak widać z tego pobieżnego tylko zestawienia kilku dat i szczegółów o pierścionkach, dzieje ich są ciekawym przyczynkiem do obyczajowości różnych krajów, ukazując nam różne strony ludzkiego charakteru, różne ludzkie upodobania, mody, praktyczne potrzeby i artystyczne zainteresowania.

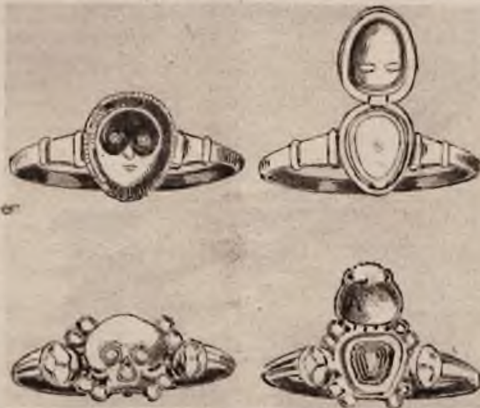
Jan Maleszewski.



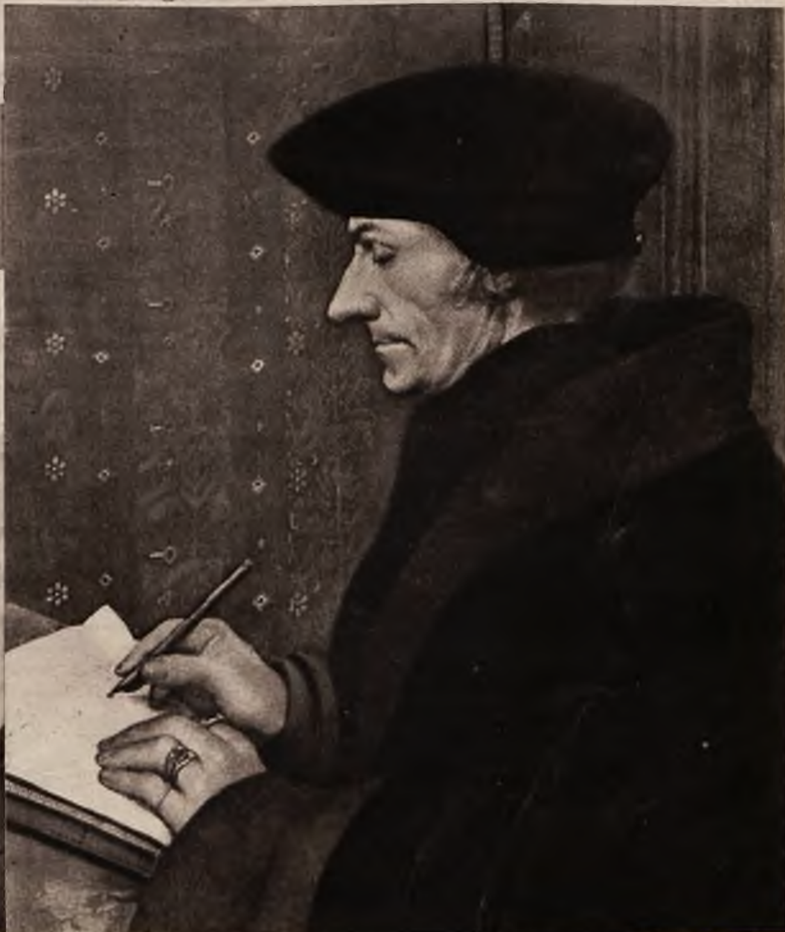
Współczesny pierścień brylantowy z warsztatu jednego z paryskich jubilerów.



Od lewej: Sygnetowy pierścień królowej Bertyldy z VII-go w. — Nad wyraz rzadki pierścień bizantyński z XI-go w.



Pierścienie trucicielskie, znajdujące się w Muzeum Cluny w Paryżu.



Na prawo: Erazm z Rotterdamu (portret Holbeina) również hołdował modzie noszenia licznych pierścionków.



Poniżej: Jedna z współczesnych, efektownych kreacyj jubilerskich w zakresie pierścionków damskich.



Na lewo:
Garbo w początkach swej amerykańskiej karjery.



Na prawo: Scena z pierwszego filmu „boskiej Grety" (x).

GARBO
GWIAZDA Z PÓŁNOCY

„Moje dzieciństwo — mówi Greta Garbo — było smutne i bezbarwne. Zachowałam jedno wspomnienie, które najlepiej symbolizuje ten smutek i jego beznadziejność. Był to jeden z długich wieczorów zimowych. Ojciec wypisywał jakieś cyfry na marginesie gazety, matka naprawiała pończochy, dzieci oglądały obrazki i cicho z sobą rozmawiały. Przed drzwiami — widzę, wokół stojących tam trzewików i kaloszy, jak rozszerza się wilgotna plama. Na dworze zadymka śnieżna. Wokół nas wyczuwa się jakąś niechybną groźbę, trudną do określenia. Smutek napełnia dusze. Wiatr, wyjący za oknami towarzyszy smutnym myślom. To jeden z takich wieczorów, który zdaje się nie mieć końca, przeżywany także często w tem małem gronie, beznadziejny los skazańców, nie opuszczających nigdy celi więziennej"...

Ucieczką od tego beznadziejnego smutku były letnie samotne spacery nad brzegiem morza i marzenia o dalekich podróżach w świat, na jednym z pięknych, białych okrętów, zawijających do portu w Stockholmie. — Śmierć ojca 14-letniej Grety pogrążyła rodzinę w jeszcze większem ubóstwie. Brat Swen i siostra Alva już zarabiają na życie, Greta może tylko od czasu do czasu dopomóc parą koron, jako pomocnica u fryzjera, przygotowująca szampony lub zamiatająca podłogę. W poszukiwaniu za zarobkiem dostaje miejsce sprzedawczyni w magazynie mody Bergstroma. Wysoka i smukła blondyna o smutnych oczach, przymierza klientkom kapelusze, nie widząc, że przeznaczenie stawia ją już przed pierwszą próbą. Magazyn wydaje ilustrowany cennik, do którego fotografują Gretę w kilku kapeluszach. A potem wyświetla się film reklamowy, w którym umieszczono ją jako statystkę. Oglądając się na tym filmie, nie jest z niego bynajmniej zadowolona. Marzy jednak o teatrze, a to tem więcej, że przypadkowo bierze udział w filmie Petschlera, wzorowanym na komicznych farsach amerykańskich, a Greta jest przepojona melancholją i nęcą ją role heroin teatru.

Uczęszcza zatem w latach 1922/3 i 1923/4 do szkoły teatralnej, po której angażuje ją teatr dramatyczny w Stockholmie na maleńkie rólki, w których jak w „Opowieści Zimowej" Szekspira, odnosi sukcesy z powodu wielkiego przejęcia się grą, już wówczas pełną wyrazu.

Jakież było zdziwienie młodej aktorki, kiedy pewnego dnia otrzymała zaproszenie od M. Stillera, znanego już realizatora filmów, osnutych na tle mitologji skandynawskiej. Stiller powierzył Grecie Gustafson, której poddał pseudonim Garbo, rolę hrabiny Dohna w Legendzie Gösta Berling, który to film zdobył odrazu powodzenie nietylko w Szwecji, ale i w Niemczech. Obecna na premjerze w Berlinie, Greta Garbo, była obok Stillera przedmiotem wielkich owacyj, co zadecydowało o zaangażowaniu jej przez Stillera do filmu „Z tysiąca i jednej nocy", jaki jedna z wytwórni niemieckich miała realizować w Konstantynopolu.

„Konstantynopol — czytamy w pamiętnikach Stillera — jest dla filmowca prawdziwym rajem. Czyste powietrze, zdumiewające swiatło, sąsiedztwo morza, które tworzy niezwykłe refleksy świetlne w krajobrazie, to wszystko jest tłem, na którem możnaby nakręcać niejeden a tysiąc filmów. Greta rozkwita tu, jak kwiat lilji w atmosferze południowej zimy, która jest dla nas jak rozkoszna, zachwycająca wiosna. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Chciałbym, abyśmy mogli wybrać się stąd do Włoch, na Capri, ale praca zatrzyma nas tu dłużej".

Istotnie prace nad filmem toczyły się w szybkiem tempie, które nagle zwolniło się. Stiller wyjechać musiał do Berlina dla załatwienia formalności administracyjnych, gdyż konsorcjum ogłosiło bankructwo. W jakiś czas potem artyści rozjechali się w różne strony. Greta Garbo wróciła do Berlina, gdzie znów roztoczył nad nią opiekę Stiller, ułatwiając poznanie z G. W. Papstem, który właśnie montował film „Smutna ulica". I tu, grając w towarzystwie Asty Nielsen i Wernera Kraussa, odniosła młoda Szwedka wielki sukces artystyczny, wżywając się w postać sponiewieranej życiem, lecz szlachetnej dziewczyny. Film przyniósł kolosalne honorarjum wschodzącej gwieździe filmowej — 4 tysiące dolarów. One to pozwoliły jej wrócić na jakiś czas do ojczyzny, na śnieg, za którym szczególnie tęskniła, marząc o fjordach i morzu.

Na premjerę swego filmu przyjeżdża Greta do Berlina w maju 1925 r., skąd wraca jeszcze do kraju, ale już tylko, aby pożegnać się z rodziną i to na długo, bo wraz ze Stillerem zaangażowana zostaje do Hollywood. Zdawałoby się, że taka szansa życiowa oszołomi Gretę Garbo mirażem wspaniałej karjery. Ale bynajmniej tak nie było. Ogromny lęk, niepokój, trwoga, mieszały się w jej sercu. Podróż okrętem, wyma-

Ciąg dalszy na 19-tej.



Na lewo:
Prospekt sztokholmskiej firmy „Bergström" z portretami Grety Garbo jako modelki firmy.



1920



19??



19??



1924



1925



1927



1932



1936



1937



Na prawo:
Greta Garbo w wersji dźwiękowej słynnego filmu „Anna Karenina".
Zdjęcia: MUNDI, AMSTERDAM.

Dokończenie ze str. 2-ej.

łowa nigdy nie zapomni wpiąć w fryzurę wieńca ponsowych róż, aby dać galantom możność do okrzyku: „Patrzcie, na róże na śniegu!" I ta, jak tamta kocha się przedewszystkiem w cudzoziemcach. Stackelberg, Sievers, Whiteworth, omal, żè nie Casanova.

A teraz najpiękniejsza, bezsprzecznie najpiękniejsza z pań sejmu tańcującego: Julja Potocka. Najnieszczęśliwsza także. „W mazurze kibić jej zwiewna na ślicznej, ledwie ziemi dotykającej kołysze się nóżce, z objęć jednych rzuca się w drugie, te ją chwytają, w tamtych się okręca...". Ale do jednych objęć powraca zawsze, najchętniej. A danser wart zaszczytu. Eustachy Sanguszko, bohaterski oficer, subtelny człowiek, piękny mężczyzna. Kocha ją ze wzajemnością. Kochać ją będzie poza śmierć. Przez zamknięte granice, ranny i chory przedrze się do kraju, by spojrzeć w twarz umarłej poraz ostatni. Kocha panią Potocką niemodnie, nie w stylu rokoko, kocha ją na sposób romantyczny, tylko głębiej, szczerzej, goręcej. Ponad śmierć!

Dziwią się pudrowani grafowie, dziwi się król lekkomyślny, dziwią się modnisie, z sercami wychowanemi na sposób francuski, dziwią się nawet pasterki na obrazach Watteau. Czegoś takiego nie widziało się nigdy w Wersalu ani w Trianon. Miłość! Jaki brak smaku! Miłość! Co za sprzeniewierzenie się różowemu kodeksowi z pieczęcią Louis Quinze!

A miłość przychodziła czasem znienacka, niespodzianie, wśród tysiąca romansów i flirtów. Prawdziwa, niepudrowana, jedyna!

Zjawiała się nawet tu, w menueta słodkich pianach, wśród frywolnych obrazów i marmurowych posągów Canovy.

Korowód par strojnych przewija się w kontredansach. Coraz to inna tancerka wiruje na pierwszym planie.

„Czy to Marja Lubomirska? O nie,
ta w Aurory jaśnieje brylantach.
A Potocka jako Djana płonie
W koronkowych, lekkich amarantach,
Także księżna Sapieżyna
w menuecie się wygina".

Ale teraz tańczy kozaka z księciem Pepi pani Basia Kossowska. A zachwycony Trembecki z miejsca wiersz układa:

„Nóżki się ledwie widzieć pozwolą
I tylko czasem tykają ziemi
Wszystkie w niej członki razem swawolą
A zefir igra z szaty wiotkiemi".

Pudrowana socieła hojnym nagradza oklaskiem wierszopisa i uroczą, zamaszystą, czarnooką Basię. Angielski ambasador wzdycha do polskiej Djany, ale pani Basia woli zaloty księcia Józefa, a ambasadorowi powiedzieć każe: „Jeśli go znajdziesz smutnym, powiedz mu, że tańczę". I tańczy: a Trembecki u jej wirujących stóp wiersz, za wierszem składa:

„Śliczna z postaci, żywa, jak łania,
Oczki, jak zorza, usta w rubinie,
Z rączym się wiatrem w tańcu ugania
Chwyta za serce, kto się nawinie..."

A pani Grabowska czarnowłosa, jasnooka również za serce chwyta tymi właśnie jasnymi oczyma, Jego Majestat, króla Stasia. Ona jedna z pośród wykwintnych dam Warszawy, rządzić będzie królem niepodzielnie przez lat dwadzieścia, usuwając z najjaśniejszego jego horyzontu inne „amory", damy uczone, księżniczki lekkostope, aktorki i szlachcianeczki z Litwy. Ona jedna! Ani szczególnie piękna, ani szczególnie mądra. I nie zostanie faworytą, ani kochanką krótkotrwałą, zostanie żoną króla Stasia.

Dlaczego? Czyżby miłość? Wszędobylska miłość? Ta, która spada na serca pudrowane znienacka, niespodzianie? Może. Pewne, że tak. Bo jakże inaczej wytłumaczyć ten mezaljans i sentyment królewski do żony?

Wykrzywiają się ironicznie marmurowe amory rokoka.

Gasną światła na sali balowej. W szklonych karocach sześciokonnych, w błękitnym aksamitem wysłanych landarach, odjeżdżają jedni za drugiemi diukowie i princessy.

Na sali balowej ostatnia tańczy para. Orkiestra już grać przestała. Nie wiedzą o tem. Wszyscy już wyszli. Niezauważyli.

Widzą tylko siebie, ciągle siebie... Najmłodszy senator „Sejmu Tańcującego" Tadeusz Mostowski i księżna Róża Lubomirska.

W tym tańcu ostatnim przebiegną całą Europę, uciekając przed światem, nie oprą się aż w Paryżu, gdzie pod nożem gilotyny spadnie wiośniana, misternie fryzowana głowa księżny Róży.

W ponurem więzieniu Petite Force maskarada trwa dalej. Panuje nowa moda krótko obciętych włosów. Kawalerowie i damy prowadzą wykwintne rozmowy i silą się na bon mots'y, duchessy piorą strzępy koronek, by tylko przedłużyć koronkową linję życia i nie uchybić w niczem etykiecie.

Wieczorami przy gromnicznym blasku świec tańczy się znowu. I księżna Róża tańczy w ramionach skazańców, równie wdzięcznie i lekkomyślnie, jak kiedyś tańczyła na parkietach Łazienek, na posadzkach Trianonu. To nic, że prosto z jej ramion biorą tancerzy na szafot, to nic, że po pewnej przetańczonej nocy, ona sama zginie na gilotynie. Z beztroską rozpieszczonego dziecka rokoka tańczy księżna Róża aż do śmierci, wspominając może z sentymentem człowieka, za którym pobiegła do Paryża, zapomniawszy o niebezpieczeństwie. Kończy się różowy wojaż i bajeczny romans... Kończy się w murach Petite Force swawolny karnawał rokoka. Jedna z ostatnich umiera księżna Róża, za rokokowe piękno, za lekkomyślność, za malowane róże, za miłość!

Niestety — ku wielkiemu zgorszeniu pudrowanej society — za miłość!

Ciąg dalszy ze str. 17-tej.

rzona w dziecinnych snach, odbywa się w przygnębieniu, którego żadne słowa Stillera nie zdołały rozwiać. Nastroje pogorszył jeszcze Nowy Jork, gdzie nieznajomość języka angielskiego krępowała wszelkie kroki i uniemożliwiała życie się z nowymi warunkami. Nikt nie przypuszczał, że niepozorna dziewczyna, przebiegająca ulice u stóp drapaczy chmur, stanie się kiedyś ubóstwianą królową kina, której ukazanie się wywoływać będzie entuzjazm ulicy, szał fotoreporterów i... konieczność noszenia czarnych szkieł przez artystkę, chcącą uniknąć ciągłych owacyj.

Tymczasem wypełniała Greta Garbo wolne chwile, dzielące ją od wyjazdu do Hollywood, lekcjami języka angielskiego, który musiała w jak najszybszem tempie sobie przyswoić.

Przyjazd do stolicy filmowej bynajmniej nie był przyjemny. Wszędzie witały Gretę Garbo natrętne spojrzenia, złośliwe uwagi i niekryjące jadu uśmieszki. Jakże bowiem odbiegała jej postać od szablonu gwiazd amerykańskich, który uznawał tylko „Vampy" o czarnych włosach i czarnych, jak węgle oczach, lub złotowłose blondynki o cukierkowej urodzie i oczach błękitnych, jak z porcelany. Wysoka, dobrze rozwinięta, bynajmniej nie szczupła, Greta Garbo, której z wielkim trudem przychodziło porozumienie się z otoczeniem, nie robiła wcale dobrego wrażenia. Brak wyszukanej elegancji, duże stopy, blada cera, źle uczesane włosy i smutne spojrzenie, dopełniały tych cech, które wywoływały złośliwości koleżanek i kolegów filmowych. Zraniona w swej miłości własnej, zrozpaczona i zgnębiona, myślała Greta Garbo już tylko o zebraniu pieniędzy na powrót do kraju.

Tymczasem trzeba było rozpocząć przygotowania do filmu. Oddano Gretę Garbo pod opiekę fachowców kultury ciała. Gimnastyka, kąpiele, maquillage, fryzjerzy, rozpoczęli działać na korzystną zmianę młodej Szwedki. Wyszczuplała, ruchy nabrały gracji, a nieprzenikniony wyraz oczu nadawał jej coraz wysubtelniającej się twarzy charakteru nowego zjawiska na firmamencie gwiazd filmowych. Film „Kusicielka" na tle dramatu Blasco Ibaneza, kierowany przez Stillera, odstawiono wskutek intryg i zawiści. Nakręcany przez Monte Bella film „Burza" był powodem prawdziwej burzy w studjo, gdy Antonio Moreno nie chciał grać z nowicjuszką, która w dodatku przerastała go nieco wzrostem. Stiller wyjechał z Hollywood, prasa nie szczędziła docinków, a na domiar nieszczęść nadeszła wieść ze Stockholmu o śmierci ukochanej siostry Alvy...

Greta Garbo zamknięta w sobie bardziej jeszcze, niż kiedykolwiek, odsunęła się od życia towarzyskiego, unikając zetknięcia się z reporterami czy agentami, umiejącymi wyciągać wszelkie interesujące szczegóły z prywatnego życia. Budziło to ogólną niechęć i zdawało się atmosfera nie do wytrzymania wypędzi Gretę z miasta filmowego. Tymczasem filmy poszły w świat i poczęły płynąć do Ameryki wieści o ich sukcesach w Europie. Czas pracował na korzyść artystki. Natychmiast agencje filmowe postarały się o wykorzystanie powodzenia filmów i chcąc nie chcąc otoczyły postać Grety Garbo legendą, jaka tylko dała się wysnuć z jej życia. A więc rozpisywano się o „Lady of the solitude", tajemniczej kobiecie skandynawskiej, która po przybyciu do Hollywood odseparowała się od świata, przeżywając rozłąkę z ukochanym, z którym złączyła dłonie nad wodami Bosforu w czasie owej uroczej zimy w Konstantynopolu.

Powodzenie Grety Garbo wzmocniło jej szanse. Już na partnera do „Namiętności" według Sudermana, daje wytwórnia uwielbianego z Wielkiej Parady Johna Gilberta.

Dokończenie na str. 31-ej.

Wrażenia z polowań w Białowieży

Regent Królestwa Węgier, Mikołaj Horthy, składając wizytę Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i od wieków zaprzyjaźnionemu z Węgrami Narodowi Polskiemu, odwiedził przedewszystkiem prastary gród królewski — Kraków, skąd udał się bezpośrednio do Białowieży, ulubionej puszczy królów polskich i niewyczerpanej skarbnicy przepięknej i arcybogatej przyrody polskiej.

Sędziwa Puszcza Białowieska pamięta dawno minione czasy. Władali nią waleczni Jadźwingowie. Pierwsze wielkie łowy królewskie w Puszczy Białowieskiej odbyły się jesienią 1409 roku, kiedy zjechał tam Władysław Jagiełło, by przed wyprawą przeciwko Krzyżakom zaopatrzyć armję w mięso. Polowanie trwało aż do wiosny 1410 roku, a polowano na liczne jeszcze wówczas w Puszczy żubry, tury, dziki, łosie i jelenie.

Od tego czasu Puszcza widziała u siebie wielu królów polskich. Polowali tu Kazimierz Jagiellończyk, Aleksander, Zygmunt Stary, Zygmunt August, Stefan Batory, August II, August III i wreszcie ostatni król polski Stanisław August.

Później w tej Puszczy, będącej potężnym wyrazem niczem nie skrępowanej wolności, polowali ciemiężyciele Polski, rosyjscy carowie-samodzierżcy.

W okresie wojny światowej na Puszczę spadły dotkliwe ciosy. Okupanci niemieccy, dorwawszy się do nieprzebranych bogactw Puszczy, rozpoczęli tam rabunkową i barbarzyńską gospodarkę. Wycinano drzewa bez planu, bez myśli o przyszłości, byle jak najwięcej złupić i wywieźć do ogołoconego ze wszystkiego, wycieńczonego Vaterlandu.

Kiedy Polska nareszcie po półtorawiekowej niewoli odzyskała niepodległość, zaczęto leczyć okrutne rany, zadane Puszczy. Oczyszczono ją z band dywersyjnych i maruderów leśnych, zaprowadzono prawidłową gospodarkę leśną, założono Park Narodowy i Muzeum Puszczy, sprowadzono ponownie króla Puszczy — żubra, umożliwiając mu swobodny rozwój.

W roku 1930 po raz pierwszy odwiedził Puszczę Pan Prezydent Rzplitej prof. Mościcki. Oczarowany pięknem rezerwatu Pan Prezydent Rzplitej nawiązał do tradycji królów polskich, urządzając tam od tego czasu corocznie polowania reprezentacyjne.

Przyjmowany z honorami iście królewskiemi, przybył Regent Węgier na łowy tam, gdzie polował książę siedmiogrodzki, a wielki król polski Stefan Batory. W Puszczy mógł potomek Arpadów nietylko podziwiać niezwykłe bogactwo flory i fauny, ale i przekonać się, jak pieczołowicie przechowywana jest tu pamięć o wielkim Batorym, którego imieniem m. in. nazwano uroczysko w nadleśnictwie Zwierzynieckiem.



Na prawo: **Regent Węgier Admirał Horthy w stroju myśliwskim podczas polowania w Białowieży.**

Ale Ziemia Białostocka, której część składową stanowi Puszcza Białowieska, ma również inne pamiątki braterstwa polsko-węgierskiego.

Wszak to w województwie białostockiem leży Ostrołęka. Na prawym brzegu Narwi pomiędzy Ostrołęką a wsią Kruki, toczyła się w r. 1831 słynna bitwa z udziałem gen. Bema. Na tem historycznem pobojowisku, na miejscu, gdzie wówczas stała artylerja polska pod wodzą bohaterskiego generała, złożył obecnie przedstawiciel Regenta Węgier mjr. Nemeth hołd przed pomnikiem Bema, składając wieniec z napisem „Regent Węgier".

Jeszcze jedno miasto w województwie białostockiem stanowi żywy pomnik przyjaźni polsko-węgierskiej: Grodno, miasto, w którem Batory chętnie przebywał, gdzie przygotowywał swe wyprawy wojenne i gdzie wreszcie oddał Bogu ducha. W Grodnie odbyły się też w 1933 r. z udziałem Pana Prezydenta Rzplitej i ministra pełnomocnego Węgier Matouski imponujące uroczystości z okazji 400-tnej rocznicy urodzin Batorego.

Słusznie więc droga wizyty Głowy Królestwa Węgier w Polsce prowadziła z grodu królów bezpośrednio do puszczy królów ze skarbnicy historji Polski do województwa, które może pochlubić się pamiątkami odwiecznej przyjaźni polsko-węgierskiej na szlaku Otrołęka-Grodno-Białowieża. **So.**

Poniżej: **Pan Prezydent R. P. Ignacy Mościcki, Regent Horthy, oraz Marszałek Śmigły-Rydz, udają się, wysiadłszy z samochodów, na stanowiska w Puszczy Białowieskiej.**



W PERSKIEJ WIOSCE

Nasza nowa znajoma nosi poetyczne imię Ku-Kiapk, kuropatwa górska. Drobna, bardzo ciemna, błyska w rozmowie olśniewającemi ząbkami i oczami, jak czarne diamenty.

Jest śmiała, o!... bardzo śmiała! wyraźnie kokietuje mego towarzysza, który przyjmuje to z bezczelnem zadowoleniem.

Ku-Kiapk ma lat 15, rocznego synka, którego nie omieszkała nam pokazać, i jest mieszkanką cudownej, ukrytej w głębokich wąwozach Elburcu wioski.

Skaliste, nagie, groźne są przełomy tych gór. Olbrzymie skały wznoszą się prostopadle nad głową podróżnych, wielkie złomy głazów zastępują drogę, między brunatnemi osypiskami kamieni, huczą spienione potoki. I tak niespodziewanie otwiera się w ciemnej ścianie skały wąska rozpadlina, że możnaby myśleć, iż czarne głazy pękły nagle, tworząc dla nas tylko, nieznane nikomu przejście.



Fragment wioski perskiej, której „domy" są nieraz nędznemi lepiankami.

Gardziel, na dnie której ukazuje się perska wioska Ask, nazwaćby można „doliną Atlantydy". Ciemne bloki kamienne, ponure urwiska, mroczny cień, a w głębi zalane słońcem, jasne i wysmukłe topole, równo, jedne nad drugiemi ustawione gliniane domki i srebrzyste, szeleszczące źródła.

Źródła! wystarczy spędzić w Iranie parę tygodni, by poznać, by ocenić czar i magję wody. W tym kraju, wiele miesięcy pozbawionym deszczu, cierpiącym na brak rzek i strumieni, gdzie żadne pole, ogród, ba! nawet kępa roślin obejść się nie może bez nawadniającego rowka — źródło to skarb, to prawie świętość.

Coś z tych pojęć przejmuje także i „ferenghi" i patrzy ze wzruszeniem na błogosławioną wąską dolinę Ask. Szumią tu pola zbóż, zielenią się maleńkie sady, za glinianemi murami pną po ziemi splątane kłącze jarzyn.

A wokoło olbrzymie, trzy i cztery tysiące metrów wysokie szczyty, wznoszą się nagie, brunatne, pocięte smugami jakichś barwnych minerałów.

Między domami wioski wije się i zawraca



W wąwozach Iranu turysta spotyka się często z wspaniałemi widokami dzikiej, groźnej natury.



Wiele domów perskich zaopatrzonych jest w oryginalne okiennice, chroniące mieszkańców przed upałem.

błękitny, srebrzystemi pianami poszarpany potok, brzegi jego spina starożytny, wygięty w ostry, gotycki prawie łuk, most Szada Abbasa. W jarzącem słońcu wielkie, nierówne głazy bruku, zdają się wdrapywać jedne na drugie, a drewniane spękane wiązania, srebrzą się na tle lazurowej wody.

Tam daleko w dole, po drugiej stronie, jedno ze źródeł, setki i setki lat osadzało białe nacieki gipsu, i teraz wśród naturalnych, równo w dół opadających tarasów, bieleje wielka stężała struga, jak rozlane mleko.

Na prostopadłych ścianach skał, w górze wysoko, gdzieś na 150 metrów czernieją dziwne, równe otwory pieczar. Znać wyraźną pracę rąk ludzkich, jakiż jednak człowiek zdołał wspiąć się po gładkich, śliskich kamieniach? Miejscowa legenda mówi, że były to schroniska gebrów (wyznawców Zoroastra), którzy po najeździe arabskim, mieli się tu ukrywać.

Jest to jednak mało prawdopodobne i daleko więcej realnych podstaw posiada teorja głosząca, że są to dotąd niezbadane siedziby ludzkie z epok przedhistorycznych.

To wszystko opowiada nam Ku-Kiapk przeplatając swoje słowa wybuchami dziecinnego śmiechu.

Siedzimy właśnie na dywaniku, popijając tradycyjne czaji z maleńkich szklaneczek. Jesteśmy w tej wiosce jakoby trzeciemi dopiero „ferenghi", to też wzbudamy sensację.

W głębi placyku, pod rzeźbionemi oknami meczetu, stoi już cała grupa dzieciaków, przyglądająca się nam z zachłanną ciekawością. Jest i chłop z nieodzowną fajką, zwaną „czipuk" (nasz „cybuch") i pasterz w okrągłej czapce. Co ca różnica z mieszkańcami wewnętrznej wyżyny Iranu! Tam ludzie drobni i zdegenerowani, źle rozwinięci, brudni i ponurzy, tu rośli, zdrowi i weseli, czyści i życzliwi.

Nawet kilka kobiet otoczyło nas kołem. Noszą one jeszcze, zakazane w państwie Iranu, „czadury", ale noszą je tak, jak nosiły zawsze, spadające do ziemi w poetycznych fałdach i nie zakrywające twarzy.

Wówczas nawet, kiedy w miastach kobiety ukazywały światu zaledwie swe błyszczące, piękne oczy, przytrzymując czadur ręką lub chwytając brzeżek wargami, wieśniaczki i góralki twarz miały odkrytą, inaczej bowiem byłby im ów tradycyjny zwyczaj straszliwą przeszkodą w pracy.

Ku-Kiapk oprócz białego czaduru ma jeszcze spiętą starą, srebrną broszą jasną siatkę, poczem idzie skomplikowany szereg koszul czy bluzek, króciutka marszczona spódniczka, z pod której dopiero widać długie, do ziemi czarne spodnie.

Z całego tego stroju najciekawsze i najzabawniejsze jest pochodzenie owej krótkiej baletniczej spódniczki.

Pierwszym władcą perskim, który odbył podróż po Europie, był Nasredin-Szach, z dynastji Kadżarów, w końcu XIX wieku. Osławiony szeregiem anegdot (w Warszawie obrywał drogie kamienie, zdobiąc jego wschodnią szatę, i rozdarowywał paniom, wyróżniającym się urodą) gwałtownie a bezsensownie skupywał europejskie „wynalazki" i usiłował naśladować europejskich władców.

Przywiózł on ze sobą do Teheranu mechanicznego kanarka i wielki skafander, w którym kazał dworakom opuszczać się na dno głębokich basenów. Niestety, pierwsza próba skończyła się tragicznie: ministra wyciągnięto martwego. Okazało się, iż wszystko zrobiono wzorowo ,zapomniano jedynie włączyć przewód powietrzny!

Otóż ten właśnie Nasredin-Szach słyszał



Typ starego Persa, o wysoce charakterystycznych rysach twarzy.

„gdzieś, kiedyś, „coś" o słynnym dekrecie Tylżyckim, w którym Napoleon z odległości tysięcy kilometrów reorganizował akademję francuską. Pragnąc go naśladować perski władca będąc w Paryżu wydał manifest, nakazujący kobietom swego kraju noszenie „szat" takich, jak baletnice opery paryskiej. Wola szacha — rzecz święta: Na długie szarawary zaczęto nakładać ozdobne, marszczone spódniczki, które dziś jeszcze spotkać można w zapadłych i ślicznych kątach Iranu.

Nietylko stojąca na placyku grupa mieszkańców patrzy na nas z zajęciem przyjrzawszy się uważnie pięknej, rzeźbionej kracie okiennej, stojącego naprzeciw nas domu, mogę dojrzeć parę błyszczących oczu

Rzeźbiona krata, przypominająca słynne „musz-arabi", jest umyślnie tak gęsta i skomplikowana, by stojąca wewnątrz kobieta nie była nigdy przez obcych widziana.

Wszystkie okna i balkony glinianych domów w Ask, posiadają jeszcze tę czarującą ozdobę, nie widywaną już w dostępniejszych kątach Iranu. Bo piękne kraty, wielobarwne, cudowne, wtapiane szkiełka i rzeźbione oprawy znikły porwane... do Ameryki. W górskiej wiosce Renc, mieszkańcy opowiadali nam jeszcze, — z pewnem zdumieniem, — jak to zjawiali się u nich handlarze i płacili znakomite ceny za te przecież „bezwartościowe" prawie, drewniane rzeczy.

„Bezwartościowe"! Jak mało ceni się tu jeszcze pracę ludzką! Jakże! wyroby maszynowe są przecież najczęściej droższe od ręcznych.

Zresztą tu, na wsi niema ich wcale. miski i wysmukłe dzbanki, gwoździe i haki, łyżeczki i talerzyki są kute z metalu i ozdobione prymitywnym harmonijnym ornamentem. Futryny drzwi otaczają również rzezane arabeski, na glinianych ścianach widać często stylizowane desenie, pociągane roślinnemi barwami.

Najwięcej tych ozdób posiada miejscowy „humam", łaźnia, w której każdy bogobojny mahometanin obowiązany jest się wykąpać.

To też rano, gdy ogień rozpalony z cienkich zielonych gałązek, suchych ostów i końskiego nawozu, dostatecznie nagrzał już wodę „hamamu" rozlega się dzwon, wzywający małżonków na przepisane w Koranie ablucje.

Zwyczaj ten byłby znakomity i niezmiernie higjeniczny, gdyby... zmieniano wodę. Niestety, to ostatnie widocznie nie zostało wyraźnie zakazane.



Młoda dziewczyna wiejska w stroju narodowym

WSZYSTKIE ZDJĘCIA MARJA MIKORSKA

Teraz jest wieczór i po krętych uliczkach wioski krążą kobiety, nosząc na głowie wielkie, płaskie, pełne wody naczynia.

Drepcząc bezwładnie, wędruje w stronę meczetu stary — jakiż stary! — mułła. Ten pamięta jeszcze dawne, dobre czasy wielkiej władzy i znaczenia. Bo dziś... ograniczono ilość „mułłów", żąda się od nich dowodów wykształcenia... a „prestige'u" u ludu... szkoda słów! przecież nawet „ferenghi" widzą, że meczety prawie zupełnie puste są w piątek!

I trzęsąc z oburzenia swym wielkim turbanem, staruszek znika za murowanym z wypalonej na słońcu cegły, wyjątkowo wspaniałym, domem.

Należy on do wielkiego bogacza z Mazanderanu, przyjeżdżającego tu stale w czasie letnich upałów. Właśnie oczekują go lada chwila — jego i 22 żon, z któremi się nie rozstaje (de gustibus... etc.).

Dla ścisłości należy dodać, że nie wszystkie „małżonki" są równorzędne... Nowe prawo bowiem nie pozwala mieć ich więcej jak cztery, nie ogranicza jednak ilości legalnych konkubin, również pobłogosławionych przez mułłę tz. sigre. Można więc jakoś wyrównać sobie tamte „ograniczenia".

Chodzimy teraz po szarzejących uliczkach wioski. Mimo mojej obecności podbiega do towarzyszącego mi Anglika, śliczna, może dziesięcioletnia dziewczynka.

„Czy nie potrzebujesz „badżi"? (służącej).

„Nie, jestem tu na krótko, wyjeżdżam".

„Pojadę z tobą, umiem wiele rzeczy". Małe usteczka śmieją się porozumiewawczo.

„Nie, nie, nie chcę".

„To szkoda, ja jestem bardzo przyjemna!"

I odbiegając rzuca naprawdę czarujące, pełne kokieterji spojrzenie.

Trochę wcześnie...

Marja Mikorska.

Na lewo: Typy dzieci irańskich. — Na prawo: krajobraz Iranu odznacza się wysoce ciekawemi naciekami mineralnemi, tworzącemi różnokolorowe uwarstwowienia.

Jak się będę wydawała...

LUDOWA PIEŚŃ GÓRNOŚLĄSKA

Opracowanie: WŁODZIMIERZ POŹNIAK

Ewa na Wiosnę

ANTONINA TEODOROWICZ — NOWELA

Ewa jest dzisiaj nie w humorze. Wstała rano z bólem głowy, ubierała się niemożliwie długo i siedząc przed lustrem patrzała bezmyślnie na swoją ładną, jasną twarz.

Myśli pełzną leniwie, leniwie...

Wiosna.

Nogi są ociężałe, ruchy senne, chodzić w futrze jest za ciężko, a słońce przygniata ramiona, które bolą...

Jeszcze najlepiej jest położyć się w pokoju na zalanym słońcem tapczanie i otworzywszy okno chłonąć zapach miasta: mieszaninę kurzu, aut, perfum i daleki, nieśmiały zapach wiosny.

Ale za chwilę już przyjdzie Adam.

Ewa wstaje leniwie i przeciąga ociężałe, bolące ciało. Właściwie niema wcale ochoty ani na rozmowę, ani na śmiech, ani na nic, na nic... Siłą nawyku, z przyzwyczajenia podchodzi do lustra i przyczesuje ciemne, kręte włosy o kasztanowatych połyskach. Uśmiecha się... ot, tak tylko, żeby zobaczyć czy nie wyszła z wprawy i czy wargi są dobrze umalowane.

Dzwonek. To Adam.

Ostatnie spojrzenie w lustro, badawcze, czujne: Wszystko w porządku! Obraca się ku drzwiom.

Adam jest wysoki, miły, jasnowłosy, oczy błyszczą mu z uciechy i miłości, ramiona wyciągają się żarliwie i mięko a stęskniony, ciepły głos woła już od progu:

— Ewo, Ewo! Dzieńdobry!

Ewa się naturalnie uśmiecha. I podaje mu razem z uśmiechem obie ręce. Ale nagle czuje do niego złość i żal, że jest taki roześmiany, wesoły i miły.

— Wiosna, Ewo! — mówi Adam wesoło i siada blisko niej na tapczanie. — Czy widzisz jaka cudowna wiosna? Jak ty! — śmieje się i nachyla ku niej głowę.

— Acha! — odpowiada zgodnie Ewa. Boże, i czemu on się tak cieszy! Z czego?

— Wiesz, mam świetną myśl! —entuzjazmuje się Adam. — Ubierz się, weźmiemy auto i pojedziemy sobie na spacer za miasto! Dobrze? Jest tak pięknie, takie słońce... opalisz sobie troszkę buzię! Taka jesteś bladziutka! Pojedziemy sobie sami, we dwoje... dobrze?

— We dwoje...— powtarza Ewa i patrzy zbliska w jego jasne, szczęśliwe oczy, jakby chciała przelać w nie całą swą ociężałość, zły nastrój i wiosenny spleen.

— Nie masz ochoty?

Głos Adama brzmi zawodem i żalem. Tak się cieszył, że jej sprawi przyjemność, że będzie zadowolona i wesoła, a tu masz! Chmura w oczach, blade zaciśnięte wargi i poważna twarz. Co jej się stało? Myśli niespokojnie Adam i nagle robi mu się jej żal. Taka jest blada, szczupła, jakby zmartwiona czy cierpiąca... biedactwo! Jakiż ja jestem prostak! Wymyśla sobie w duszy, — najwyraźniej jest zmęczona, źle się czuje a ja tu wyjeżdżam z przejażdżką, krzyczę i zachowuję się jak zupełny warjat! Biedna Ewa!

— Biedna Ewa! — Powtarza głośno i delikatnie nakrywa dłonią małą, bezsilnie leżącą rękę. — Czy źle się czujesz? Naturalnie, że zostaniemy w domu, jeżeli ty...

— Ależ nie, nie! protestuje słabo Ewa — ja tylko tak... ale jeżeli masz ochotę jechać...

Jednak już wie, że zostaną i jest mu zupełnie wdzięczna! Daje głaskać swą rękę i uśmiecha się dosyć szczerze do jego zatroskanych oczu. Z prawdziwem westchnieniem ulgi, że nie potrzebuje się już ruszać i ubierać, opiera głowę o jego ramię i pyta, myśląc o tem, że ją to właściwie tak mało obchodzi...

— Co robiłeś dzisiaj Adamie?

— Ach wyobraź sobie! — mówi Adam spotkałem dzisiaj swoją starą, dawną przyjaciółkę! Nie widzieliśmy się już od czterech lat i poszliśmy na wspominanie dawnych czasów do najbliższej cukierni. To tak miło rozmawiać o sobie samym z dawnych lat, z kimś, kto mnie wtedy widział i pamięta takim, jakim byłem! Pytałem się, czy się zmieniłem! Ależ tak! — powiedziała do mnie, — odrazu widać, że pan jest zakochany! Wtedy... — i Adam urywa nagle, bo czuje, jak ręka Ewy wysuwa się z jego dłoni, a jej ostry, zimny głos pyta sucho:

— Jakże się nazywa ta twoja dawna miłość? — Indaguje Ewa po przerwie lodowatym tonem. Adam wzrusza ramionami i odpowiada zrezygnowany:

— Janinka.

— Janinka! Ślicznie! Wzruszające zdrobnienie! Jaką ty masz pamięć, o tem, że dzisiaj są moje urodziny?..

— O co ci chodzi znowu? — Dziwi się Ewa natychmiast niewinnym głosem. I jeszcze wyładowując resztki furji i gniewu na niego mówi złośliwie.

— Czy to jest twoja dawna miłość?

— Ależ Ewo! Nie, skąd! — waha się, to znaczy...

— Ach, tak! — Ewa śmieje się złym śmiechem. Obrzuca go spojrzeniem pełnem litości i pogardy. Wstaje i podchodzi do okna. Boże, jakże ją drażni ten człowiek! I poco jej mówi o tem, że jakaś wstrętna baba zauważyła... i był z nią razem w cukierni... i napewno się w niej dawniej kochał, przynosił kwiaty, (jak jej!) patrzył takiemi szczęśliwemi oczami (jak na nią) i kto wie?...

Małe kobiece piąstki zaciskają się nerwowo. Zagryza wargi. Jest napozór zimna i spokojna... ale czuje jak każdy nerw skacze w niej naprężony i czujny. Poco on mówi! Poco on jeszcze coś mówi!

— Ewo! Ewo kochana! — Rzuca się ku niej Adam i mimo oporu odwraca do siebie skrzywioną powstrzymywanemi łzami twarzyczkę. W głosie jego brmi prawdziwy żal i skrucha, oczy są pełne miłości. Ewie drżą wargi. Taka jest zdenerwowana! Taka się nagle czuje nieszczęśliwa, samotna, biedna! Tak ją wzruszają własne, szeptane słowa!

— Przepraszam Ewo, strasznie przepraszam! Rzeczywiście, widzisz, zapomniałem zupełnie! Ale wierz mi, to nie dlatego, nie dlatego... — milknie niepewnie. Teraz Ewa zdobywa się na wielkoduszność (Ten pomysł z urodzinami przyszedł w porę i wywarł pożądany skutek!) Więc teraz można machnąć niedbale ręką i wycedzić z minką pokrzywdzonej niewinności:

— Ach, co tam... dajmy temu spokój, Adamie!

— Więc nie gniewasz się Ewo?

— Nie? Jesteś cudowna! Chodź, usiądziemy razem! No, daj rączkę, spójrz na mnie! Już dobrze, tak? Ewo!

Usiedli znowu. Pozwoliła się objąć ramieniem, zaglądając w oczy, pocałować pachnące, puszyste włosy. Ale w myśli ma wciąż tylko jedno: Janinka! I jak on to powiedział! Musi wiedzieć wszystko, musi!

— Adamie... — mówi cichutko. Jej postać ruchem leniwej kotki przytula się do niego. Usta są czerwone, wilgotne, uśmiechnięte... wie o tem. I tylko oczy są niezbadaną, kuszącą głębią, pełną tajemniczych błysków. Adam traci głowę. Głos mu matowieje, oczy błyszczą, obejmując go gorącym płomieniem. Jego kochana, słodka Ewa!

— Co najdroższa?

— Powiedz mi... powiedz, kochasz mnie Adamie?

— Ewo, Ewo! Ty pytasz?

— I ufasz mi?

— Ależ tak!

— I tylko mnie kochasz?

Za całą odpowiedź Adam śmieje się radośnie i głośno. Jakaż jest dziecinna i niemądra! Kochana! Głupiutka!

— No, dobrze — ciągnie Ewa i nagle rzuca podstępnie: A przedtem, przede mną.... kochałeś tę Janinkę, tak? Powiedz szczerze, to przecież tak dawno!

— No, no tak... przedtem... Ale teraz to niema żadnego znaczenia! — Dodaje niecierpliwie Adam. Nie chce o tem mówić. Poco! Co jej z tego? Janinka, dawne dzieje! Kochał, zdawało mu się, że i ona.... Ale potem się to wszystko rozwiało, zatarło....

— Czemu pytasz o to, Ewo? Nie pytaj! Przecież każdy z nas...

— Właśnie! Właśnie! Każdy z was! O, wy jesteście uprzywilejowani! Wam wolno! Mówicie: natura! Zabawa! Nic, głupstwo! Kochałeś przede mną Janinkę? Czy może i inną też!! Dwie, trzy, dziesięć!! — potok słów zalewa go falą i nieda przyjść do głosu. A Ewa już nie panuje nad sobą.

— Wy, wy macie prawo! Wam — wolno! Dla was: dozwolone! I mówicie potem: ty jedna, jedyna! A ja? Czy mnie nie wolno było kochać dziesięciu przed tobą? Otóż właśnie, wolno! I ty nie możesz mieć pretensji! Bo i ja miałam prawo mówić innemu przed tobą to samo... co tobie... Nie chcę tyranji! Jestem wolna!

— Ależ Ewo! — przeraził się Adam.

Co ona plecie! Co to wszystko znaczy? Przyszedł w najlepszych zamiarach. Wesoły, zadowolony.... Chciał jej zrobić niespodziankę. Dąsała się. Opowiadał co robił (pytała się sama!) rozgniewała się? Rzuciła się na niego, że zapomniał! No, tak... zapomniał, że to jej urodziny dzisiaj (psiakrew, też miały kiedy wypaść!!), ale przeprosił ją przecież zaraz i ona przebaczyła mu. Potem była słodka i miło i zdawało się, że wszystko jest dobrze... a tu masz! Burza! Cyklon! Tajfun!! I o co,?! Żeby to chodziło o tamtą... dobrze, że nie wie, Matko Bosko, coby to było!!!

Ale jej ostatnie słowa zaniepokoiły go! Co znaczyły te dziwne aluzje do równouprawnienia? Co ma znaczyć to zastrzeżenie, że niema prawa mieć do niej żadnych pretensji?

— Ewo, co to znaczy? — głos Adama jest bardzo chłodny. — Spada na Ewę, jak strumień zimnej wody.

— Ewo, najmilsza, wierz mi... przecież ja tylko poszedłem z nią pogadać, przypomnieć...

— Właśnie: przy-pom-nieć!!

— Ależ Ewo!

— Proszę, nic nie mów! Tylko nic nie mów! Nie tłumacz mi! Ja jestem zupełnie spokojna, nie mam pretensji, możesz sobie chodzić z kim chcesz i gdzie chcesz i kiedy

chcesz! Ja się przecież nie liczę! Na mnie niema się co oglądać!

— Ewo!

Adam robi się blady i wstaje z tapczana. Jego mocne ręce zaciskają się również w pięści a pod cienką skórą policzków widać jak zwierają się szczęki. Ale rozpętał burzę, która przelewa się teraz nad jego niewinną głową, miotając błyskawice i pioruny.

Słońce zaglądnęło, zaśmiało się, złotym błyskiem, zajrzało do oczu mężczyzny i pogładziło go po włosach. Zaglądnęło w zwężone, kocie źrenice kobiety i umknęło na ulicę.

Ach ludzie, ludzie! Przecież to wiosna!!

Ależ ty dzisiaj jesteś miły, Adamie! Zupełnie cię nie poznaję! Najpierw zapominasz o mnie, potem wspominasz przy mnie czule jakieś swoje dawne Janinki... potem krzyczysz na mnie... Doprawdy, Adamie, nie poznaję cię!!

Adam traci na chwilę głos. Patrzy trochę bezmyślnie nieprzytomnie i mruga oczami. A Ewa nagle uśmiecha się. Uśmiecha się rozkosznie! Jest przecież dzisiaj w takim dobrym nastroju! Śmieją się jej oczy a i nosek i policzki pokryte delikatnym puszkiem młodości i usta śmieją się słodko, zwycięsko, czule! Nawet ciemne kędziorki zaglądające do jasnych oczu zdają się błyszczeć więcej, niż zwykle, uśmiechnięte.

Adam po dłuższej chwili dopiero przytomnieje. Chłonie oczami roześmianą śliczną twarzyczkę, białe ręce, postać ukochaną, giętką, chłopięco szczupłą, najbardziej pożądaną... Mówi trochę mniej pewnie, pytająco:

— O czem mówiłaś Ewo?

— Jakto o czem? Czy ja coś mówiłam? O co ci chodzi?

— Zdaje się, że mówiłaś... żebym nie miał pretensji, żebym zrozumiał i nie gniewał się... że ty... .

— Że ja... co, Adamie? Nie rozumiem cię!

— Ależ Ewo! — denerwuje się Adam nareszcie. — Dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że ty przede mną kochałaś jakiegoś... Kto to był?! — Krzyczy zły Adam. Fala gorącej, pałającej zazdrości zalewa mu oczu. Podchodzi do niej i chwyta jej delikatną postać w ramiona.

— Mów, kto to był?!

— Kto, Adamie? — pyta cichutkim głosem Ewa.

— Jakto, kto! Ten niepoń! No, ten, którego ty kochałaś przede mną! Chcą wiedzieć! Zaraz! natychmiast!

Adam jest blady i dyszy ciężko. Pochłania jej twarz oczami, jakby chciał przedrzeć tajemnicę tych lśniących, głębokich źrenic, skrytych za firanką ciemnych rzęs. W duszy mu się coś łamie i dygoce na myśl, na samą okropną, straszliwą myśl, że ktoś inny, nie on...

— Ewo!! — woła i głos mu się załamuje. Powiedz! No, powiedz! — prosi cicho. Jest mu już wszystko jedno. Kocha ją tak bardzo! Niech mu już powie najgorsze, bo on tej niepewności nie wytrzyma!

Co kryją te oczy? Przedtem błyszczały uśmiechem, teraz poważnieją, lśnią, jakby łzami, kryją się za rzęsy, wreszcie obejmują jego twarz tak dziwnie... Co mówią?

— Ewo! Ewo!

Nagle wszystko się zmienia. Ewa kładzie mu obie rączki na ramionach i mówi słodko:

— Adamie, drogi, niemądry Adamie!

Zalewa go fala szczęścia! Ach, jakaż ulga i radość! Słyszeć ten głos znowu taki dobry i widzieć tę twarzyczkę uśmiechniętą dla niego, tylko dla niego!

— Jesteś tak niemądry, Adamie! Dlaczego? Czy mi nie ufasz?

— Wierzę Ewo! Ale ty sama...

— Ach, Adamie! To głupstwo przecież! Bywam czasami rozdrażniona, zła, niedobra... Ale ty, Adamie! Żebyś mi tak nie ufał! Adamie! — w głosie jej brzmi wyrzut i żal. Adam jest przerażony i skruszony. Pełen tkliwości. Naturalnie! Jakże mógł? Tyle razy prosiła go, żeby jej ufał... a on...

— Ewo, nie gniewaj się!

Ewa uśmiecha się. Co kryje się w tych oczach i uśmiechu? Oto jej kochane usta, włosy ciemne, wijące się w pukle, oto jej małe ręce zaciskają się na jego szyi i ciepłym oddechem — brzmi szept tuż przy jego wargach:

— Pamiętaj! Pamiętaj, Adamie! Ja jestem zawsze ta sama! EWA!

——o——

Dokończenie ze str. 10-tej.

kim, a kapitan chce się go pozbyć, ma prawo, spotkawszy okręt wojenny, oddać go tam do służby. W służbie rządowej zostanie on poprawiony. Tak więc majtek wedle upodobania kapitana może przejść z marynarki handlowej do wojennej.

20 grudnia.

Morze jest wzburzone, kilku pasażerów choruje.

22 grudnia.

Miłość moja do Armandy rośnie. Wiem, że dla niej zdobędę w tym nowym świecie, do którego zmierzamy to, czego nie posiadała w ojczyźnie.

Armanda ucałowała moje ręce, gdy jej to wyznałem.

28 grudnia.

Minęliśmy Panamę i równik w odwrotnym jak poprzednio kierunku. Robimy 4 do 5 węzłów. Jest to błogosławieństwo, gdyż często zdarzają się w tych stronach okresy zupełnej ciszy.

Od czasu wyjazdu z Havru nikt z pasażerów nie doznał szkody, ani nie zachorował.

30 grudnia.

Zostaliśmy okrutnie dotknięci! Blisko 17 stopnia szerokości usłyszeliśmy straszny okrzyk.

— Człowiek w morzu!

Gdy okrzyk ten zabrzmiał, wszyscy spoglądać zaczęli po sobie, licząc się i z trwogą upatrując bliskich, czy są obecni. Ja poskoczyłem do burty. O jakie 150 kroków wśród fal dostrzegłem płynącego Bottina. Zawołałem:

— Bottin wpadł w morze!..

Ten człowiek tak był lubiany, że wszyscy pośpieszyć mu chcieli z pomocą. Zrzucono już linę z masztu. Następnie zepchnięto szalupę, stojącą na pokładzie, na morze. Porucznik i uczeń niezwłocznie w niej się znaleźli. Jednocześnie kapitan kazał odmienić kierunek żagli. Przypadek ten nie mógł grozić niebezpieczeństwem — pogoda bowiem była piękna — a Bottin świetnie pływał.

Ale jakim sposobem dostał się Bottin w wodny wir? Otóż piorąc swą bieliznę, pośliznął się i wpadł niedostrzeżony w morze. Na krzyk jego sternik pobiegł do burty i zaalarmował nas.

Ja, nie mając nic do czynienia w szalupie, poszedłem do Anety, która stała zalękniona przy burcie i uspakajałem ją w obawie, aby i ona nie rzuciła się za swym kochankiem

Ale Bottin już podpłynął do rzuconej mu liny. Także szalupa była niedaleko. Widzieliśmy, jak Bottin dawał znaki, by wiosłujący nie śpieszyli się. Nagle pływak zniknął nam z oczu. Myśleliśmy, że wkrótce ukaże się znowu. Lecz nadaremno. Ludzie w szalupie płynęli jeszcze w kierunku śladu, acz nie widząc nikogo. Przykładali oni ręce do oczu, wypatrując Bottina, lecz niestety ani oni, ani my nic nie dostrzegliśmy. Na obszarze morza nic się nie ukazało.

Nasz biedny przyjaciel przecięty został przez rekina.

Ten rodzaj śmierci nie ulegał wątpliwości. Nikt nie tonie odrazu, tembardziej, jeśli umie pływać. Przez dwie godziny czyniono jeszcze poszukiwania. Kapitan wahał się odwołać szalupę, porucznik wahał się powrócić.

Aneta, która usłyszała złowieszcze szepty, zrazu nie chciała wierzyć, potem opadła bezsilnie na pokład. Zaopiekował się nią Sotin i lekarz okrętowy.

Trzeba było płynąć dalej. Szalupa powróciła smutnie. Na pokładzie objawiła się żałoba, bowiem Bottin był powszechnie lubiany. Wśród wielu zalet umiał on łagodzić wszelkie spory. Sporządzono protokół jego zejścia. Rzeczy zajął kapitan. Papiery miały być odesłane rodzinie.

Wieczorem nie tańczono i nie śpiewano. Wszyscy byli smutni. Zastanawiano się, co stanie się z Anetą.

5 styczeń.

Aneta nie odzywa się do nikogo. Sotin opiekuje się nią tkliwie i bezinteresownie.

7 styczeń.

Dnia 7 stycznia 1850 r. wśród zasłon gęstej mgły ukazała się ziemia. Zbliżamy się do celu. Wraz z Armandą poważnie spoglądamy na naszą nową Ojczyznę.

8 styczeń.

Mgła uniosła się. Ląd wznosił się amfiteatralnie. Dostrzegliśmy woły i jelenie, pasące się na szmaragdowej zieleni. Zwierzęta te były tak spokojne, jakby ich łąka była rajem dopiero co stworzonym. W głębi rosły olbrzymie jodły, na widnokręgu unosząc się w chmurach, widniały pasma gór z najwyższym szczytem Góry Djablej.

Im bliżej zatoki, tem drzewa stawały się rzadsze.

9 styczeń.

Noc spędziliśmy na morzu, a to dla bezpieczeństwa.

Byliśmy radzi, że wkońcu dobrnęliśmy do celu. Radość jednak nasza była poważna i zadumana. Wszystko, co znajdowało się w tym nowym świecie, miało być dla nas „nieznanem".

Od rana żeglowaliśmy szybko. W południe dostrzegliśmy wejście do zatoki. Są to dwie skały zbliżone wierzchołkami ku sobie. Pobrzeże błyszczało białym piaskiem, a niebo było czyste, bez jednej chmurki.

Wkrótce zobaczliśmy warownię Williamsa. Minąwszy zaś ją napotkaliśmy wyspy: Angelę i Jelenią. Dalej znajdował się folwark Residio. Wkoło wioski pasły się konie i muły, po raz pierwszy oglądane od czasu wyjazdu z Francji. Na górze nad folwarkiem wznosił się telegraf z czarnemi i białemi ramionami, będącemi w ciągłym ruchu. On to oznajmia przybycie statków z dalekich mórz. Poniżej telegrafu widać było namioty, naprost zaś oczekiwała przystań. Znajdował się tam lazaret na wolnem powietrzu, gdzie statki odbywają kwarantannę.

Ponieważ nie przybyliśmy z podejrzanego lądu, po oględzinach lekarskich pozwolono nam zejść na brzeg.

Brama wiodąca do Nowej Ziemi została przed nami otwarta

Objąłem Armandę, poczem spojrzeliśmy — szukając oczami duszy — naszej w nim przyszłości. Uklękliśmy na pokładzie, a wraz z nami wszyscy pasażerowie.

Powiedziałem głośno ,a za mną powtórzył chór:

— Boże daj, aby ta ziemia była dla nas łaskawą!

——o——



À LA TURQUE...

(patrz artykuł na str. 28-

Fot. Imre von Santho

PORANNA GIMNASTYKA



Ćwiczenie pierwsze.

Ćwiczenia pierwsze. Siadamy po „turecku" gdyby jednak robiło to ćwiczącej trudność, to siada ona poprostu na posadzce, wyciągając nogi przed siebie. Następnie wyciągamy ręce jak najwyżej w górę, dłonie skierowując przed siebie. — W chwili, gdy wyciągnęliśmy ręce jak najwyżej, pochylamy się plecami nieco wtył, powtarzając ćwiczenie dziesięć razy, a następnie poruszając ramionami w koło, wstajemy i przechylamy się znowu dwadzieścia razy wtył. Ćwiczenie to najlepiej wykonywać przed lustrem, aby móc kontrolować swe ruchy.

Ćwiczenie drugie. Klękamy, jak na zdjęciu; następnie przechylamy ramiona wtył aż poza koniec tylnej nogi. Przechylanie nie powinno być zbyt silne. Musimy też uważać, aby ręka, której w danej chwili nie przeginamy wtył, była trzymana na ukos przed siebie. Ćwiczenie to przeprowadzamy po dziesięć razy każdą ręką, potem wstajemy i, przeskakując z nogi na nogę, „rozluźniamy mięśnie".



Ćwiczenie drugie.

KĄCIK PANI DOMU

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE...

Tłuste plamy na woskowanych parkietach czyści się przy pomocy bibuły, zwilżonej spirytusem. Czasem trzeba bibułę zwilżać w tym celu kilkakrotnie.

Polewaczki do kwiatów w pokoju trzeba starannie utrzymywać, aby nie rdzewiały. W tym celu należy po podlaniu kwiatów wylać pozostałą wodę i odstawić polewaczkę dnem do góry, aby szybko wschła. Polewaczki lakierowane w deseń lub całkiem gładko oczyszcza się wodą z dodatkiem amoniaku, a dla wydobycia połysku przeciera się po osuszeniu szmatką, zwilżoną w oliwie.

Porcelanowe popielniczki, przypalone od papierosów, czyści się szmatką, zwilżoną wodą i posypaną solą.

Ślady od gorących naczyń na stole politurowanym znikną, gdy leciutko wyszlifujemy miejsce to szklanym papierem bardzo delikatnym. Potem doprowadza się politurę do połysku, nacierając cały stół płynem, uzyskanym ze zmieszania w równych częściach 90-procentowego spirytusu i oleju lnianego. Miejsce porysowane nacierać mocniej. Wytrzeć na sucho flanelą.

Meble lakierowane odświeża się przy pomocy płynu wedle następującej recepty: zagotować w ¾ litra wody 50 gr. otrąb pszennych przez 5 minut, ciągle mieszając. Otrzymany klejowaty płyn przecedzić i wystudzić. Zimnym polewa się przedmioty do odświeżenia, przecierając czystym płóciennym gałgankiem Po wyschnięciu wytrzeć do połysku flanelką.

Biały tiul można odświeżać, płócząc go delikatnie w wodzie z rozpuszczonym w niej amoniakiem w ilości kilku kropel na litr wody. Potem płócze się tiul w czystej wodzie letniej kilka razy. Do ostatniej wody dodaje się troszkę boraksu. Wycisnąć delikatnie z wody, nie wykręcając i rozłożyć tiul na desce do prasowania, przypinając go szpilkami Prasuje się, przykrywając płótnem przy pomocy niezbyt gorącego żelazka.

Czarny tiul odświeża się przy pomocy płynu, uzyskanego z 5-ciu części wody i jednej części spirytusu, dodając troszkę mocnej czarnej kawy, dobrze przecedzonej. Dobrze wyciągnięty, wyschnie ładnie i nie trzeba go wcale prasować.

Gdy rura, czyli piekarnik, jest zbyt gorący, wystarczy wstawić tu duży garnczek z wodą, a nie przypali się legominy czy ciastek, gdyż wytwarzająca się para wodna złagodzi temperaturę.

Chcąc ochronić mleko od przypalenia się, wystarczy wrzucić do naczynia, w którem je gotujemy — szklaną kulkę.

Wyciskając sok z cytryny lub pomarańczy, trzeba przedtem potoczyć ją po stole, lekko ją naciskając ręką, aby potem wszystek sok mógł być dobrze wyciśnięty.

Modne świeczniki na stoły oczyszcza sie ze stearyny, polewając gotującą wodą nad jakimś grzejnikiem, np. kaloryferem, który trzeba osłonić papierem. Pozostawić je do zupełnego osuszenia. Nigdy nie zdrapywać stearyny, bo łatwo powstają rysy na srebrze czy niklu, z którego są wykonane.



Czyszczenie zardzewiałych igieł na pudełku od zapałek (patrz tekst).

Kurek od gazu, gdy funkcjonuje opornie, rozluźni się znakomicie, jeżeli zwilżymy go naftą, kładąc nań w tym celu kawałeczek waty, zwilżonej naftą. Gdy wata wyschnie, trzeba zwilżyć ją znowu, aby przez 2 do 3 dni ten „naftowy okład" działał. Skutek będzie doskonały.

Jaja stłuczone lub zgniecione można gotować. W pierwszym wypadku trzeba je owijać kawałeczkiem muslinu, wiążąc go na jednym końcu silną nitką, a potem trzymając chwilę nad gorącą parą przed zanurzeniem w wodzie. W drugim wypadku wystarczy dać do wody trochę octu.

Płyty marmurowe czyści się doskonale przy pomocy takiej mieszaniny: 3 dkg soku cytrynowego, 20 dkg oleju lnianego i 1 dkg krochmalu. Przed użyciem dobrze wymieszać, najlepiej w słoiku, który trzeba dobrze wstrząsnąć.

Naczynia aluminjowe trzeba po każdem użyciu myć w wodzie z rozpuszczonem mydłem.

Zardzewiałe końce igieł można doskonale oczyścić, pocierając je o pudełko zapałek.

Prasując kilka godzin krochmaloną bieliznę, musimy przeczyszczać żelazko, przecierając niem po stole, na którym rozsypać trzeba trochę soli.

Większy kawałek mydła łatwo przeciąć, przesuwając po niem jednostajnym ruchem mocną nitkę lub bardzo cieki sznurek Wykonanie tej czynności przy pomocy noża powoduje kruszenie się mydła.

Gdy szuflada zacina się przy zamykaniu i otwieraniu, wtedy wystarczy potrzeć rogi mydłem, a skutek będzie natychmiastowy.

Naczynia emaljowane czyszczą się najlepiej odwarem z listków herbacianych, które normalnie po naparzeniu herbaty wyrzuca się w każdem gospodarstwie.

Elwira.

„KARCZMA POD KICHĄ"



Na balu Automobilklubu Polski w Warszawie dużem powodzeniem cieszyła się pomysłowo urządzona karczma pod przysłowiową „kichą". Na zdjęciu: (od lewej) Red. T. Grabowski, p. Śliwińska, p. Hanka Regulska, komandor J. Regulski z małżonką i p. Walewska.

BAL WĘGIERSKI W WARSZAWIE



Ewenementem warszawskiego karnawału stal się bal węgierski, który zgromadził elitę towarzyską stolicy. Na zdjęciu: (od lewej) Sekretarz p. Perlaky-Kassa, p. Kristoffy, p. Carissimo, radca Carissimo i radca hr. Attems. Na drugim planie: Prof. dr Horvath.

KRÓL SJAMU NA NARTACH.



Młodociany król Sjamu, odbywający swe studja w Londynie, bawi obecnie na wywczasach zimowych w Arosie, znanej szwajcarskiej stacji sportów zimowych.
Fot. Zygmunt Borzęcki — Arosa.

JUBILEUSZ DYR. MAZURKIEWICZA



W ub. poniedziałek odbył się w sali Filharmonji warszawskiej jubileusz znakomitego dyrygenta Tadeusza Mazurkiewicza, b. dyrektora Opery warszawskiej, b. prezesa ZASP-u i b. dyrektora muzycznego Polskiego Radja. Na zdjęciu: Moment składania gratulacyj jubilatowi. Fot. „As".

Z REWJI W „CYRULIKU".



W rewji, którą obecnie gra „Cyrulik Warszawski", występuje z dużem powodzeniem Alicja Halama, której talent, wdzięk i uroda są żywo oklaskiwane przez widownię.
Fot. Dr Azet — Kraków.

BAL PRASY SPORTOWEJ W ZAKOPANEM



Doroczny Bal Prasy Sportowej w Zakopanem odbył się w ub. tygodniu w salach hotelu „Bristol". Pomysłowe dekoracje wnętrz, wykonane przez p. T. Zajdla, a przedstawiające strony tytułowe wydawnictw Koncernu „IKC", ogólnie się podobały. Na zdjęciu: (od lewej) Rtm. Kon, mjr. Żychoniowa, gen. Anders, płk. Jasiewicz i pp. Krygowscy.

»KSIĘŻNA FEDORA« W TEATRZE 8·15



Melodyjna operetka Kalmana „Księżna Fedora", wystawiona przez „Teatr 8.15" w Warszawie, nabrała nowych oryginalnych rumieńców dzięki pomysłowej reżyserji W. Zdzitowieckiego i koncertowej grze zespołu, z H. Makowską, Igo Symem na czele. Na zdjęciu: Jedna ze scen baletowych operetki. Fot. Forbert — Warszawa.

Moda KOBIECA

ZACZYNAMY MYŚLEĆ O WIOŚNIE

Tegoroczna łagodna zima już w lutym zaczyna nas łudzić obietnicami rychłego nastania wiosny. Dlatego też wcześniej niż zazwyczaj nasze panie zaczynają zdradzać „wiosenny niepokój" na temat swej garderoby. Wszystko, co nosiły w zimie (tej prawdziwej, grudniowej, ze śniegiem i mrozem...) zaczyna im się wydawać przestarzałe i poprostu — nie do noszenia. Aksamitne i welurowe kapelusze przy takiem słońcu! — to poprostu skandal! A jakżeby się już przydał wiosenny kostjum, podszyty odrobiną wataliny i markujący „zimę" jakimś kokieteryjnym żabotem czy krawatem z lekkiego futra! Lada dzień zrobić się może naprawdę ciepło, trzeba być pod bronią... Ale jak się uzbroić? Co właściwie będzie modne na wiosnę?

Nie bójcie się piękne panie... Pomyślano już o tem. W centrali mody, a więc w Paryżu, wiosenna moda już się właściwie urodziła, tylko szerszej publiczności jeszcze jej oficjalnie nie zaprezentowano. Choć to dopiero luty, ale wszak wiele pań wybiera się już wnet na południe, obejrzeć sycylijską Primaverę czy też spędzić Wielkanoc na Riwierze. A w tym kraju słońca i wiecznej wiosny nie na miejscu by już były ciemne zimowe stroje, które noszono w Paryżu, Wiedniu, Londynie czy Warszawie.

Na prawo: Wiosenna suknia jerseyowa z cape'em. Całość przybrana dwubarwnemi obszyciami.
Fot. Mundi — Amsterdam.



Jasna suknia spacerowa z charakterystycznem odcięciem gorsecikowem, uzupełniona żakiecikiem z tego samego materjału.
Fot. Imre v. Santho.

Ogólnie rzecz biorąc, stwierdzić możemy, że na niektórych odcinkach frontu mody nastąpiło wyraźne uspokojenie i pacyfikacja tendencyj, na innych notujemy natomiast alarmujące wieści. Dotyczą one przedewszystkiem linji stanu. Tak, tak, trzeba się z tem pogodzić! Linja stanu za długo już trzymała się swego właściwego, przez naturę nakreślonego jej miejsca. Obecnie przesuwa się ją, choć wcale się jeszcze nie zdecydowano, w jakim kierunku: do góry czy na dół. Narazie więc i prawdopodobnie na cały sezon wiosenny i letni 1938 błądzić będzie między górą a dołem, ostateczną decyzję odkładając do jesieni. A więc raz króciutkie bolerko, odcięcia i odszycia poniżej linji biustu, szerokie inkrustowane w odmiennym kolorze i materjale pasy — z drugiej długie, całe biodra zasłaniające żakiety i swetery, bluzki zdrapowane przechodzące w dłuższą baskinę, upięcia, szarfy i paski na linji bioder itd. Krój sukien zachowuje jeszcze właściwe propocje figury, ale stara się linję stanu tuszować i rozprowadzić na szerszej przestrzeni — między linją biustu a bioder. Mają to zadanie na celu i wchodzące w modę cape'y i peleryny, noszone



do sukien czy kostjumów, robione z futra, jersey'u i wełny. Dają one pole do szykownych zestawień kolorów i materjałów, np. granatowa jersey'owa suknia z takąż peleryną, podbita białym rypsem, którym wykończona jest również suknia i kapelusz. Kraty — które święcić będą na wiosnę swój triumf — nadają się również do takich kompletów, jak i spódniczka fałdowana (szczyt mody!) z wełny w szkocką kratę, żakiecik ciemny gładki, peleryna gładka z podbiciem i renwersami z tej samej kraciastej wełny.

Wiosenne płaszcze są bardzo wystudjowane i kunsztowne i odbiegają daleko od dotychczasowych szablonów. Robią wszystko możliwe, aby nie wyglądać jak płaszcz: zapomocą krytych zapięć, błyskawicznych zamków, odcięć itp. naśladują suknie, a nawet kostjumy. Najmodniejsze będą płaszcze nie zachodzące z przodu, lecz otwierające się poniżej pasa tak, aby ukazać suknię w odpowiednim kolorze, który odnajdujemy również na kapeluszu, rękawiczkach czy torebce. Jeśli chodzi o wiosenne okrycia, przebojem sezonu będą krótkie bolerka z futra, uzupełnione podobnym dużym zarękawkiem. Także żakiety futrzane ujrzymy w odświeżonej postaci, kombinowane z suknem, zamszem czy duvetyną.

Kolory? Najrozmaitsze i w tysiącznych odcieniach, kombinowanych w kraty, pasy i inne geometryczne wzory, zestawiane z odcienami gładkiemi. Fabrykanci tkanin wełnianych lansują całe serje materjałów na komplety, komponowane np. z dwóch gładkich i jednego wzorzystego. Komplety jednobarwne nadal nie są modne.

W dziedzinie sukien ujrzymy renesans garsonek, czy tzw. „Jumperkleid" Spódniczkę rozszerzającą się ku dołowi czy to w formie kloszu, czy fałdów, zaszytych jedynie do linji bioder, nosi się z bluzką z tego samego materjału (często odmiennej barwy) — dosyć długo, drapowaną na biodrach, a w modelach sportowych przeciętą paskiem z materjału lub skóry. Przy sukniach popołudniowych motyw dwuczęściowości spotyka się równie często, bądź to w postaci bluzki i jumpra, bądź też sukni i bolerka, przybranego haftem, ażurami czy wyszyciem z perełek przy sukniach strojniejszych

Kwestję kapeluszy omówimy na zakończenie, choć od nich właściwie powinno się zacząć, mówiąc o wiosennej modzie, której od szeregu lat stanowią prawdziwą awangardę. Nowości w tej dziedzinie zadowolą tak kobiety (modny kapelusz zawsze im się przecież podoba!) jak i mężczyzn, którzy nareszcie będą musieli zaprzestać oburzać się i drwić na ich temat. Odznaczają się bowiem tem, że naprzekór dotychczasowym tendencjom do skrajnych ekscentryczności, będą wyglądały poprostu jak — kapelusze. Adieu rury kominowe, głowy cukru, chińskie pagody i piramidy egipskie! Kapelusz wiosenny rocznik 1938 nie będzie nasuwał

Dokończenie na str. 31-ej.

Elegancki komplet wiosenny, składający się z wełnianej sukni i cape'u z tego samego materjału w ciemniejszym odcieniu. Ozdobę sukni stanowi odstębnowany motyw pięciu kół olimpijskich. Fot. Imre v. Santho.







Od lewej: Wiosenny komplet z granatowego jerseyu z peleryną, podszytą białym rypsem, stanowiącym również przybranie sukni. Fot. Mundi — Amsterdam.

Szykowny sportowy komplet z spódniczką typu „jupe-culottes", z jasnej wełny. Fot. d'Ora — Paris.

Typowy dla nadchodzącej mody kostjum „deux pièces" z granatowej wełny, z szarfą w odmiennym kolorze. Fot. Georges Saad.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA RYŻOWA „A LA CRÈME". 10 dkg ryżu wyciera się w czystej ściereczce, zalewa w garnuszku szklanką zimnej wody, dodaje 5 dkg masła łyżeczkę soli i parę ziarnek pieprzu i rozgotowuje na wolnym ogniu, przy dolewaniu wody i rozbijaniu mątewką tak, aby się ryż zupełnie rozgotował. Po odrzuceniu ziarnek pieprzu podprawia się zupę szklanką śmietany, dolewa potrzebną na 4 talerze zupy ilość rosołu z kości cielęcych lub mleka i wydaje na grzaneczkach z kruchych rożków.

SOS CHRZANOWY Z JABŁKAMI. Do indyka lub kury z rosołu nadaje się chrzan z jabłkami, sporządzony w ten sposób: Obrane i w cienkie płatki pokrajane jabłko, dusi się z paru łyżkami wody i łyżeczką masła oraz sokiem z połówki cytryny. Masę jabłeczną miesza się z dwoma łyżkami tartego chrzanu, dodaje szczyptę soli i cukru, w razie potrzeby też jeszcze octu lub soku cytrynowego, aby smak był pikantny. Chrzan w dobrym gatunku nie musi być parzony; niektóre rodzaje chrzanu, sprzedawane nie przez ogrodników lecz wieśniaczki, wykopujące chrzan dziko rosnący na łąkach, są gorzkie i taki chrzan musi być zaraz po utarciu zalany wrzącą wodą, następnie odcedzony, wyciśnięty i dopiero do sosu użyty.

ZIEMNIACZKI Z SEREM (przystawka). Obrane, niezupełnie ugotowane ziemniaki, kraje się w plastry, układa w rynce natartej masłem warstwami, przesypując tartym serem szwajcarskim lub innym z twardych gatunków. Każdą warstwę kropi się masłem i kwaśną śmietaną. Do 1 kg ziemniaków należy użyć 10 dkg sera i 1/4 litra śmietany oraz 5—10 dkg masła. Napełnioną ryneczkę wstawia się do piecyka niebyt gorącego na 30—40 minut. Podaje się polane masłem lub gęstym sosem pomidorowym.

KURA W PAPRYCE. Do kury, ważącej 1 kg do 1.30 kg, potrzebne są następujące dodatki: łyżka topionego masła, łyżka papryki, tyleż gęstej marmolady pomidorowej, szklanka śmietany i średniej wielkości cebula. Tę ostatnią sieka się drobno, smaży w rynce na maśle, wkłada pokrajaną na części kurę, posypuje łyżeczką soli, obsmaża z wszystkich stron, zalewa paru łyżkami wody, przykrywa i dusi powoli. Kiedy mięso jest prawie miękkie, wlewa się śmietanę rozkłuconą z łyżeczką mąki i papryką, gotuje razem jeszcze około 10 minut i wydaje w rancie z tarhonji lub drobnych, kładzionych kluseczek. W razie, gdyby kura była nie bardzo tłusta, należy ilość masła podwoić.

ROZBEF Z RUSZTU. Posiadacze piecyka gazowego z rusztem (grillerem) są w możności przyrządzenia mięsa na sposób angielski. Rostbef 1—1½ kilogramowy, przeznaczony do pieczenia w powyższy sposób, musi być zupełnie odjęty od kości, ubity, skropiony octem i oliwą i odłożony w chłodne miejsce na 2—3 dni. Tuż przed pieczeniem osypuje się go mąką, układa na ruszcie i wstawia do poprzednio już dobrze nagrzanego piecyka. Po kwadransie odwraca się mięso dwiema łyżkami (nigdy widelcem!) i piecze dalsze 15 minut, poczem gasi się płomienie gazowe, lecz pozostawia jeszcze mięso w gorącym piecyku przez 5—10 minut. Mięso, pokrajane (po częściowem przestudzeniu) w cienkie platy, podaje się z frittkami. Osobno ostry sos niegotowany, lecz utarty z łyżki musztardy, oliwy, octu i surowego żółtka. Sos podaje się w małej, kryształowej czarce. Również na zimno rostbeuf taki jest doskonały.

PASZTET Z RESZTEK PIECZENI ZAJĘCZEJ. Resztki pieczeni zajęczej, obrane z kostek, waży się i bierze tę samą ilość boczku wieprzowego, który ugotowany, miele się parę razy wraz z mięsem zajęczem i uduszoną wątróbką kurzą lub gęsią (można też ostatecznie użyć kawałek wieprzowej lub cielęcej wątroby). Zmielony kilkakrotnie farsz uciera się przez dłuższą chwilę z 1—2 jajami, dodaje łyżkę tartej bułki, o ile farsz wydaje się za wolny, poczem nakłada się masę do formy, natartej masłem, wstawia ją do większego naczynia z gorącą wodą, nakrywa i gotuje tak na parze przez trzy kwadranse. Po wyjęciu z wody pozostawia się pasztet w formie i wyjmuje dopiero po ostudzeniu; inaczej się rozsypie.

SUFLET POMARAŃCZOWY. Dużą, soczystą pomarańczę gotuje się w całości wraz z łupą przez 3 godziny powoli, aby nie popękała, przy częstem odlewaniu i zmienianiu wody. Ugotowaną pomarańczę przeciera się przez sito. Osobno uciera się 12 dkg cukru z 5 żółtkami, dodając po trosze przetartą masę pomarańczową. Wkońcu należy ostrożnie domieszać pianę z 5 białek, wyłożyć masę na ogniotrwałą salaterkę, zapiec w piecyku przez 10 minut i wydać natychmiast, zanim opadnie.

BUDYŃ POMARAŃCZOWY sporządza się w ten sam sposób z tą różnicą, że po domieszaniu piany dosypuje się cztery łyżki tartych biszkoptów, poczem nakłada się masę do formy budyniowej, przekładając ją konfiturami morelowemi. Budyń gotuje się na parze przez godzinę. Wyłożony na półmisek polewa się rozgotowaną marmoladą morelową lub syropem pomarańczowym, sporządzonym z soku, wyciśniętego z kwaśnej pomarańczy i zagotowanego z cukrem na gęsto. Cukier powinien być otarty o skórkę pomarańczową, aby nabrał aromatu.

Sc. Ko.

Nowości gospodarstwa domowego



Wielki kłopot sprawia zazwyczaj otwarcie puszki metalowej z konserwami, gdyż otworzywszy ją, kluczyk jest już nie do użycia, trudno go bowiem wykręcić z metalowego wieczka. Obecnie wprowadzono praktyczny kluczyk do otwierania puszek z konserwami, który może służyć stale do tego celu, dzięki swej prostej konstrukcji, umożliwiającej wyciąganie go ze skręconej blachy wieczka.

Fot. Keystone — Berlin.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 9 — **Luty** — 28 dni

Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA 20 Nicefora	Zupa ryżowa à la crème. Ryba w majonezie na muszelkach. Filety à la jardinière. Tort czekoladowy z bitą śmietaną. Kolacja: Pasztet z dziczyzny z włoską sałatą.
PONIEDZ. 21 Eleonory p.	Rosół z lanym makaronem. Sztuka mięsa z sosem cebulowym. Rozbef z rusztu z fritkami. Kompot mieszany. Kolacja: Rozbef z obiadu z sosem musztardowym.
WTOREK 22 K. św. Piotra	Zupa pomidorowa z ryżem. Ziemniaczki zapiekane z serem. Pieczeń nerkowa z marchewką. Suflet pomarańczowy. Kolacja: Naleśniki z mięsem zapiekane.
ŚRODA 23 Romany	Krupnik na drobiu. Szpinak z jajem. Kura w papryce z kładzionemi kluseczkami. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Omlet z pieczarkami.
CZWARTEK 24 Macieja ap.	Zupa wątrobiana. Budyń jarzynowy. Zrazy zawijane z grzybkami. Kasza tatarczana do zrazów. Budyń pomarańczowy. Kolacja: Szpinak z parówkami.
PIĄTEK 25 Wiktora	Zupa panade /z bułek/. Bukiet jarzynowy z kalafiora, groszku i fasolki / z puszki/. Łosoś lub szczupak morski w sosie sardelowym z makaronem. Tort makowy. Kolacja: Jaja w śmietanie.
SOBOTA 26 Aleksandra	Zupa rumfordzka. Kalafior z parmezanem zapiekany. Pieczeń wieprzowa z czerwoną kapustą. Krem kawowy z keksami. Kolacja: Główka wieprzowa w galarecie.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 7-go.

DOBRE POSTANOWIENIE.

Ala — 40 gr, Bolek — 45 gr, Czesio — 80 gr, Dorotka — 75 gr, a Edek 1,20 zł.

Ala i Czesio spóźnili po 4 razy, Bolek, Dorotka i Edek — 3 razy.

NA KONCERCIE.

Miejsc siedzących było 525, osób na koncercie 700.

DZIWNA LICZBA.

Jeden.

TORT IMIENINOWY.

Dzieci było 18. 9 dzieci rozdzieliło między sobą 1/3 tortu, więc każde otrzymało $^1/_{27}$. Wszystkie dzieci zjadły $^2/_3$ tortu lub $^{18}/_{17}$, a więc każde dostało $^1/_{27}$. Wobec tego dzieci było 18.

ZGUBIONE PARASOLKI.

88,00 osób.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PIŁKA.

Chłopiec rzucił w górę piłkę, którą w 4 sek. później złapał jego kolega, stojący od niego w odległości 18 m 60 cm. Jaka jest największa pionowa wysokość, którą piłka osiągnęła?

KAPITAŁ PANA KANARKA.

Pan Kanarek włożył do przedsiębiorstwa 10.000 zł. i zwiększał swój kapitał o 50% co trzy lata. — Ile złotych będzie wynosić majątek pana Kanarka po 18 latach tak dobrych zarobków?

LUSTRO.

Człowiek wysoki na 160 cm, stoi w odległości 160 cm od lustra. Jaka musi być wysokość najmniejszego lustra, w którem ten człowiek może zobaczyć swe całkowite odbicie

TAJEMNICZY SZNUR.

W stolicy Kulonji znajduje się wysoka wieża średniowieczna o grubych murach. W wieży, w celi o małem okienku, wysoko nad ziemią, zazdrosny o swą władzę król zamknął pretendenta do tronu. Zdawało się, że ucieczka z wieży jest niemożliwa. A jednak przeciwnik króla Kulonji wyłamał po żmudnej pracy kratę okienną. Wychyliwszy się przez okno, stwierdził, że skok nadół byłby śmiertelny. Na szczęście znalazł gdzieś w najciemniejszym kącie celi gruby kawał sznura. Sznur jednak nie sięgał ziemi i spuszczenie się na nim wdół było wielkiem ryzykiem.

Przemyślny skazaniec poradził sobie jednak w ten sposób, że podzielił sznur na pół i związał dwie jego części. Sznur był teraz tak długi, że bez narażania życia więzień spuścił się na nim na ziemię.

MUZYKANCI.

Rodzina muzykantów, złożona z ojca, matki i syna, który dźwiga katarynkę, przybyła nad rzekę. Rodzina musi się przeprawić na drugą stronę wody, a w pobliżu nigdzie niema mostu. Mały chłopak, przewoźnik, ofiarował się przewieźć rodzinę na drugi brzeg, lecz łódź jest tak mała, że może pomieścić bądź dwóch chłopców, bądź jedną dorosłą osobę, bądź jednego chłopca z katarynką.

W jaki sposób udało się rodzinie muzykantów przeprawić na drugi brzeg rzeki?

LOGIKA.



— Mamusiu, dlaczego żyrafa ma tak długą szyję?

— Bo żyrafa karmi się liśćmi z drzew!

— To w takim razie dlaczego drzewa są takie wysokie?

— Dlatego, aby żyrafy nie potrzebowały się schylać...

(Ric et Rac)

Dokończenie ze str. 19-tej.

I tu stał się niespodziewany cud. Gilbert nietylko okazał się nader sympatycznym partnerem, wcale nie grymaszącym z powodu Miss Garbo, lecz przeciwnie, otoczył ją jak największemi względami. Przez długie miesiące realizacji filmu obserwowano wspaniałe kwiaty, posyłane przez niego partnerce. Nie uszły uwagi wycieczki jachtem obojga artystów, ani też względy, okazywane na każdym kroku przez ulubieńca kobiet...

Hollywood zatrzęsło się od plotek na temat Grety Garbo. Żona Gilberta zażądała rozwodu. Wszyscy byli pewni, że gotuje się nowe małżeństwo. Tymczasem John Gilbert ożenił się z Iną Claire, a Greta Garbo pozostała nadal samotna, nieprzenikniona, wchodząc coraz wyżej na szczeble wszechświatowej sławy.

Nowy cios gotowała jej przyszłość. Oto zmarł w Europie jej najbardziej oddany człowiek, M. Stiller, nie doczekawszy przed śmiercią znaku życia od ukochanej kobiety, przed którą rozsnuł najpiękniejsze możliwości życiowe.

Tymczasem dokonywała się rewolucja w świecie filmowym. Wschodził już na horyzoncie film mówiony, który tylu artystów odsunął od pracy. Greta Garbo nakręca ostatnie swe filmy nieme: Boska Kobieta, Anna Karenina (powtórzona później w wersji mówionej), Rozkoszna ziemia, Dzika Orchidea, Pocałunek.

Françoise Rosay, którą wielka artystka dopuszczała do swej samotni, w takich słowach maluje jej postać: „Greta Garbo zadziwia swą indywidualnością. Jej oczy ocieniają wspaniałe rzęsy i to rzęsy prawdziwe. Jej włosy mają oryginalny kolor, bo ona jest szatynką, ale bardzo jasną o prawie jasnych włosach. Niezrównana jej cera przypomina cerę dziecka. Wygląda bardzo młodo i napewno znacznie młodziej, niżeli inne kobiety w jej wieku. Przez jej odseparowanie się od życia towarzyskiego i wieczną samotność, pojawienie się w restauracji w jej towarzystwie budzi niesłychaną sensację."

„Czem wytłumaczyć jej niechęć do ludzi? Aby to zrozumieć, trzebaby znać dobrze jej życie, choć sama natura uczyniła ją nieco dziką i stroniącą od gwaru świata. Lubi bardzo muzykę. Gra czasami w tenisa. Kiedy pada deszcz, co w Kalifornji należy do rzadkości, Greta Garbo ubiera płaszcz nieprzemakalny i błądzi po ulicach... Ten deszcz przypomina jej zapewne ojczyznę."

Styl wielkiej heroiny odpowiada najbardziej upodobaniom Grety Garbo. To też filmy jej wciągają w swą orbitę wielkie nazwiska literackie, jak i postaci historyczne. Widzimy ją ostatnio czy to na tle powieści Dumasa, Pirandella lub Vicky Baum, czy jako Królowę Krystynę lub Panią Walewską.

Skąd powstała wielkość Grety Garbo? Odpowiedź na to pytanie da nam opinja ze świata filmu. Oto co mówi o niej Clarence Brown:

„Greta Garbo to ciągła rewolucja aktorska. Nie znam artystki, bardziej pewnej każdego gestu czy intonacji słowa. Tę sprawność aktorską dała jej olbrzymia praca, jaką wkłada w swą grę. Bo cóż? Kobiet takich, jak ona, smukłych wysokich blondynek dość mamy dużo w świecie filmowym, ale tego wszystkiego, co im brak, posiada Garbo w stopniu najwyższym. Jak inne kobiety mogą być znakomitemi pracowniczkami w różnych zawodach, lekarkami, lotniczkami czy choćby najlepszemi matkami, tak Greta Garbo może być tylko znakomitą aktorką".

DO X.

Dokończenie ze str. 29-tej.

żadnych porównań, stanowiących wdzięczne pole do popisu dla dowcipnisiów. Kształty jego — choć urozmaicone i nie pozbawione fantazji — wykazują wybitną tendencję do uspokojenia. Na pierwszy plan wysuwają się klosze, często o męskim typie, z główką niewysoką, drapowaną lub zmiętą w jeden fałd, o rondzie raczej dużem, ocieniającem wdzięcznie twarz. Obok nich lansowane są klasyczne marynarki w typie przewojennego „canotier", o rondzie zupełnie prostem i niskiej główce. W przybraniach widzimy najwięcej wstążek, spiętych w stojące lub też płaskie kokardy. Bardzo modne będą też kapelusze dwukolorowe, o główce pokrytej np. szkockim jedwabiem, a gładkiem słomkowem rondzie.

Małe toczki na wiosnę utrzymują się nadal jako kapelusze popołudniowe, lecz zrezygnowały z wysokości główki na rzecz oryginalnych przybrań o tendencji zwisającej aż na ramiona, np. rodzaj falbany z koronki, lekka woalka zakończona haftem sznelkowym, pęk wstążek upiętych z jednego boku, nisko spływające strusie pióra lub też chwasty z jedwabnego kordonka lub sznelki (à la turque).

Ostatnie słowo należy do bucików, przechodzących niepostrzeżenie prawdziwą rewolucję, którą można określić krótko: od pantofelka do — buta prawie że wysokiego. — Płytkie łódki wychodzą zupełnie z mody, zastępują je buciki sięgające niemal do samych kostek, często ażurowo wycinane, gdy mają być zastosowane na popołudniu lub wieczór. Kompromisowym — jeśli rzec tak można — typem, są łódki dość głębokie z bardzo wysoko sięgającym językiem, przykrywającym wierzch nogi. Zato napiętek bywa często nieobecny, lub zastąpiony jedynie rzemyczkiem, tak że widoczna jest cała pięta pończoszki. To najmodniejsze obuwie nie zawsze jest ładne, ale zato zupełnie inne, niż dotąd noszono — a więc odmiana jest, a to jest wszak najważniejszym nieraz celem mody.

Lady Like.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„BIAŁA FOKA" CZESŁAWA J. CENTKIEWICZA. Jest to reportaż z podróży naukowej w okolice bieguna północnego. Autor udaje się norweskim statkiem myśliwskim „Istiell" na morze Białe i Berentsa. Przejmujące są opisy śmiertelnych zmagań statku z lodem: kiedy ściany statku trzeszczą w uścisku zwałów lodowych, a załoga wraz z najkonieczniejszym inwentarzem przenosi się na ląd, a właściwie na kręг... Doświadczeni żeglarze poznają stopień niebezpieczeństwa po brzmieniu, jakie dają lodowe góry, piętrząc się dokoła okrętu.

„ODMIENIONA" G. FRÖSCHLA. Tę powieść austrjackiego lekarza czyta się z przejęciem. Przynosi ona ciekawy problem wpływu transfuzji krwi na psychikę ludzką. Żona przemysłowca Lothara Lippersheya, Irena, uległa wypadkowi lotniczemu. Aby ją utrzymać przy życiu lekarze dokonują transfuzji krwi, korzystając z oferty pewnego niebieskiego ptaka, Ottokara Juguta. Po wyzdrowieniu Irena zdradza zobojętnienie dla spraw domowych i rodzinnych. Odsuwa się od męża, stając się stopniowo marjonetką w rękach Jugota.

„CHLEB I WINO" I. SILONE'A. Ignazio Silone opisuje z pasją nędzę chłopów włoskich. Nie należy on do zwolenników obecnego ustroju we Włoszech. Powieść jego maluje w jaskrawych barwach życie najuboższej warstwy chłopskiej, dla której hasła faszystowskie docierają jakby przez szybę. Bohaterem powieści jest agitator, usiłujący zorganizować jakąś grupę opozycyjną, a nawet ośrodek przewrotu. Akcja ta spełzła na niczem.

„W POGONI ZA PEŁNIĄ ŻYCIA" FRANKA HARRISA. Ta biografja znanego angielskiego dziennikarza i publicysty przynosi wiele zajmujących szczegółów obyczajowych. Autor pochodzi z Irlandji, wcześnie wyemigrował do Ameryki, gdzie uprawiał różne zawody: od czyścibuta począwszy... Powróciwszy do Anglji wybija się jako dziennikarz, ociera się o wybitnych ludzi, cieszy się przyjaźnią księcia Walji, późniejszego Edwarda VII. — Jak wielką role odgrywały kobiety w jego życiu o tem świadczy tytuł tych wspomnień w oryginale: Moje życie i miłości... Znajdujemy w tej książce żywo zarysowane stosunki z końca XIX w. i takie osobistości, jak Maupassant, Wilde, Radlophe Churchill...

„WŁADCA PUSZCZY" H. OWENA. Władcą puszczy staje się niejaki John Peabody, zdobywając uznanie nietylko swego otoczenia, ale także wybranki jego serca... Autor nie szczędzi ciężkich prób i przygód swemu bohaterowi, tak, iż powieść ta stanowi lekturę z gatunku emocjonujących czytelnika.

„POKUSA" I „RUDY DONNEGAN" G. C. BAXTERA. Podobny charakter mają dwie, wydane w przekładzie polskim powieści Baxtera, amerykańskiego specjalisty od awanturniczych przygód romansowych. Bohater ma zawsze szajkę wrogów do zwalczenia. W walce z nimi okazuje niezwykłą pomysłowość i odwagę. Do ostatniej chwili ważą się losy...

J. J.

NA SCENIE.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego zaprezentował nowego na naszym gruncie autora węgierskiego, Pawła Barabasa. Jego komedja p. t. **Mężczyznom lepiej** porusza sprawę pracy zawodowej kobiet i jej wpływu na pożycie małżeńskie. Autor przedstawia sytuację dość paradoksalną, choć bynajmniej nie należącą do świata fantazji: mąż jest bezrobotnym i na utrzymanie zarabia żona. Z końcem sztuki następi zmiana o 180 stopni: mężczyzna będzie chodził do biura, a jego żona pozostanie w domu. Teresa Suchecka zagrała główną rolę kobiecą, wyposażając ją w akcenty szczerości. Partner jej p. St. Czajkowski. Reżyser p. W. Biegański nagół poważnie potraktował perypetje głównych bohaterów, ale dał także sporo zabawnych scen drugoplanowych.

KATOWICE. W ubiegłym tygodniu wystawił Teatr im. St. Wyspiańskiego jedenastą premjerę polskiego autora w bieżącym sezonie. Była to sztuka nagrodzona na tutejszym konkursie dramatycznym pogodna komedja M. Fijałkowskiego **Trzecia miłość**, która lekkością i swobodą akcji, wybornem podchwyceniem miłych typków z dworu polskiego zyskała sympatję publiczności. Przyczyniła się do tego walnie wytrawna reżyserja Konstantego Tatarkiewicza i udatne dekoracje J. Jarnutowskiego, oraz gra aktorów z pp. Rozwadowską, Grzębską, Tokarskim, reżyserem sztuki i Górowskim na czele.

W. J. D.



Niedziela, 20 lutego.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Nabożeństwo z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej w Łodzi. Po nabożeństwie około godz. 10.30 muzyka (płyty).
12.03 Poranek symfoniczny (ze Lwowa).
13.40 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Z fiordów północy. Popularna muzyka skandynawska.
17.00 Koncert rozrywkowy z sali Teatru Miejskiego w Płocku.
19.00 „Służbista" — słuchowisko.
19.35 Muzyka taneczna.
21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 Ignacy Paderewski: Warjacje es-moll wykona Józef Turczyński.
22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 21 lutego.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Od warsztatu do warsztatu — reportaż z pracowni bieliźniarskiej (z Poznania).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Miniatury kwartetowe.
17.00 Dzieje pieniądza — odczyt prof. Krzyżanowskiego.
17.15 Koncert solistów.
18.10 Orkiestra Edith Lorand i Reginald Fort.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Dyskutujmy: „Spór o opinję publiczną".
20.00 „Kalejdoskop" — lekka audycja muzyczna.
21.00 Polska kapela ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, 22 lutego.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Muzyka z płyt.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Bal u Dorotki" — w wykonaniu „Kukiełek Śląskich".
16.15 Muzyka kameralna.
17.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tramwajów i Autobusów Miejskich.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Nieśmiertelne książki, wieczór X: „Dante".
19.30 Recital śpiewaczy Heleny Hrabi-Szalkiewiczowej.
20.00 Muzyka taneczna.
21.00 „Krakowiacy i górale" — opera Jana Stefaniego.

Środa, 23 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Recital organowy G. D. Cunninghama.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Tomasz Alva Edison" — pogadanka dla dzieci.
16.00 Uczmy się mówić.
16.15 Łódzka orkiestra salonowa.
17.00 „K. O. P. — śladami zagończyków" — odczyt Melchjora Wańkowicza.
17.15 Pieśni na sopran, altówkę i fortepian.
18.10 Małe zespoły instrumentalne.
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 Warmijskie i mazurskie pieśni ludowe.
19.35 Nowoczesne znachorstwo — dialog.
20.00 Oryginalna orkiestra kubańska Juan Amallo.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Mieczysława Münza.
21.45 Czem jest poezja — dialog Stefana Flukowskiego i Jana Kotta.
22.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, 24 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Poranek muzyczny — uwertura symfoniczna i operowa
11.40 Arje operowe.
12.03 Audycja południow
15.45 Rozmowa muzyki z żą.
16.15 Koncert rozrywkow
17.00 O książce prof. S Lempickiego p. t. tradycje wychowa
17.15 Koncert „The choir" (uliczny
18.35 Audycja dla mło skiej.
19.00 Oryginalny Teatr Wyobraźni: „Dyliżans pocztowy".
19.58 Przemówienie Ministra Pełnomocnego Estonji Hansa Markusa.
20.05 Koncert muzyki estońskiej (z okazji 20-lecia niepodległości Estonji).
21.00 „Karnawał na Śląsku".

Piątek, 25 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.45 Utwory Anatola Liadowa.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Doktór z Wolsztyna" — pogadanka.
16.15 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry Wileńskiej.
17.00 „Kształcenie woli dziecka".
17.15 „Od Aten do Bav (audycja VI) „Bog pręgierzem".
18.10 Fortepian i skrzy pertuarze muzyki
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Powszechny Teatr ni: „Krosienka".
20.00 Transmisja z W certu pod dyr.

Sobota, 26 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Walce z baletów.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Sprawiedliwy wyrok" słuchowisko dla dzieci.
16.15 Polska muzyka.
17.00 „Na polskiej plaży w Bretanji".
17.15 Utwory fortepianowe Ignacego Friedmana.
18.15 Tańce i piosenki hiszpańskie.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków za granicą.
20.00 Walce wiedeńskie — operetka.
22.00 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.